Nr. 5. Poznań, Niedziela 28-go Stycznia 1900. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu już z odnoszeniem tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 30 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy" nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Wiek dziewiętnasty.

Od kilkunastu dni piszemy 1900! pozornie zaczął się tedy wiek dwudziesty, jeżeli rozstrzygającą ma być tutaj liczba 19, stojąca na czele; istotnie jednakże wiek nowy rozpocznie się z r. 1901, boć i każdą dziesiątkę i setkę zaczynamy liczyć od jednego, a na dziesięciu lub stu kończymy.

Jakkolwiekbądź kłótnia o to czy weszliśmy już w wiek dwudziesty, czy dopiero wejdziemy, jak gdyby od wyniku tej kłótni zawisły losy ludzkości, jest co najmniej zbyteczną; toż dlatego, że ten wiek nowy się rozpoczyna, nie będzie na świecie ani trochę jaśniej, ani lepiej, życie jednostki i społeczeństw w gruncie tym samym potoczy się torem. Niesłuszne też mniemanie, jakoby wiek każdy miał stanowić odrębną jakąś całość dla siebie i odrębne jakieś nosić jednolite piętno. Historya lekceważy sobie takie mniemania i nie trudno by jej było wykazać, że zawsze pierwsze dziesiątki każdego wieku więcej się wiążą wewnętrzną istotą swoją i charakterem z minionem stuleciem, niż z końcem tego wieku, do którego liczebnie należą. Nie wiemy wprawdzie, co nam wiek dwudziesty przyniesie i pewnie żaden z nas nie doczeka ostatecznego jego wyniku, tyle jednakże przewidywać możemy, że początek tego wieku będzie stał w ścisłym związku z ostatniemi dziesiątkami dziewiętnastego i pod względem panującego ducha i panujących idei i haseł podnoszonych do tegoż wieku należeć będzie.

Wszystko to nie przeszkadza jednakże, abyśmy nie mieli dzisiaj rzucić okiem poza siebie i objąć myślą cały wiek dziewiętnasty; nie dlatego, aby czas od roku 1801 do 1900 stanowił jakąś oddzielną, wyraźnie odkreśloną epokę w dziejach ludzkości, lecz po prostu dlatego, by iść za potrzebą ducha ludzkiego i zrobić „rachunek sumienia" choćby przy tak zewnętrznej przyczynie, jak nią jest w pisaniu daty zmiana liczby 18 na 19.

Objąć myślą cały wiek dziewiętnasty, nie tak to łatwo zrobić jak powiedzieć, bo jakżeż różnorodnem jest życie narodów i społeczeństw, w jak przeróżnych objawia się kierunkach! By dać całą pełnię życia ludzkości w wieku dziewiętnastym, — powinnibyśmy obserwować i badać ruch tegoż stulecia pod względem politycznym, społecznym, duchowym, przemysłowym, ekonomicznym, technicznym, a w końcu szukać ostatecznej treści tegoż życia i baczyć, czy da się ono ująć i wyrazić jednem zdaniem, streścić jedną myślą, któraby cały ogrom tego życia obejmowała.

Tak pojęte dzieje wieku dziewiętnastego mogłyby stanowić dla człowieka pracę życia — jeżeli jeden człowiek wogóle zdolen sprostać takiemu zadaniu — mogłyby zapełnić kilkanaście potężnych tomów: to też my, mając je dać w kilku artykułach, nie możemy zapuszczać się w szczegóły, nie możemy śledzić wszystkich dróg, jakiemi szedł duch ludzki w wieku XIX; — a starać się jedynie będziemy wyśledzić ogólny, potężny ruch myśli politycznej w Europie w wieku dziewiętnastym i wykazać poszczególne fazy, przez które myśl ta przeszła.

Wiek dziewiętnasty wszedł w blasku gwiazdy Napoleońskiej. Zgniótłszy głowę rewolucyi, podniósł Napoleon, pierwotnie jako konsul francuzkiej rzeczypospolitej, później jako cesarz Francuzów, hasło wolności w całej Europie, bo wstrząsnął staremi dynastyami i tronami i swoją powszechną polityką antitronową on, pogromca rewolucyi we własnym kraju, obdarzył inne narody europejskie zdobyczami tejże rewolucyi. Szło przed nim zwycięztwo i zabór; coraz to nowe narody wprzęgał w swój rydwan zwycięzki, zawładnął Włochami, wstrząsnął Austryą i starym Habsburgów tronem, zgniótł prawie Prusaków, jedne królestwa znosił, inne stwarzał, jak gdyby mu wyrastały na dłoni — a narody podziwione pytały: któż mu się oprze, kto wstrzyma tego boga zwycięztwa i wojny? A widząc w nim niezwyciężoną jakąś potęgę i siłę, wierzyć poczęły narody, że on powołanym jest przynieść ludom wyzwolenie z pod jarzma, pod którem jęczały. Im cięższem było to jarzmo, tem większą wiara w Napoleona, tem silniejszą nadzieja, że przezeń spłynie wolność dla uciśnionych. Z wszystkich narodów nasz polski, jako najbardziej uciemiężony, największe hodował nadzieje i najbardziej i najwierniej oddał się sprawie Napoleona na usługi. Dzisiaj wiadomo, jak mało było szczerości w obietnicach i w zamiarach Napoleona

względem Polski; lecz któż mógł go wtenczas przejrzeć i przeniknąć?

To też, kiedy Napoleon w r. 1812 ruszył na Rosyą, nadzieje, jakie tym swoim pochodem wzniecił w sercach polskich, nie znały granic; zdawało się wówczas wszystkim, że już „Ojczyzna wskrzeszona“, a i później, kiedy wszystko zawiodło rok ten „obfity w zdarzenia, nadzieją brzemienny,“ stał ojcom naszym przed oczyma piękny jak mara senna i lubili o nim gwarzyć i w pieśniach go wspominać.

W śniegach i lodach Berezyny znalazł Napoleon swój koniec; chociaż potem raz jeszcze rzucił strach i popłoch w serca monarchów europejskich i przerwał im ich wiedeńskie kłótnie; owych sto dni drugiego jego panowania było już tylko smutnym epilogiem wszecheuropejskiej jego karyery. Zabezpieczywszy się przed nim, królowie poczęli w spokoju odbudowywać to, co on poburzył; rozpoczęła się tedy praca tak zwana restauracyjna, czyli po prostu reakcyjna, wsteczna. Im dalej i im bezwzględniej królowie na tej drodze postępowali, tem więcej wyrastał Napoleon, ten pogromca królów i tronów, na bohatera i bojownika wolności, stał się uosobieniem idei wolności i powstał jakoby kult Napoleona, nietylko we Francyi, ale niemniej w Niemczech, Polsce i innych krajach.

Czy Napoleon na to miano bohatera wolności zasługuje i jakiem jest jego znaczenie i stanowisko dziejowe — odpowiedzią na to pytanie rozpoczniemy następny artykuł. *Poznańczyk.*

O przyszłości narodu polskiego.

W ostatnim styczniowym zeszycie ruchliwego miesięcznika paryzkiego „Revue des Revues“, znajdujemy artykuł p. A. Leroy-Beaulieu, będący odpowiedzią na kwestyonaryusz krakowskiej „Krytyki“, a traktujący „o przyszłości narodowości polskiej“. P. Leroy-Beaulieu, autor znanego dzieła „l'Empire des Tsars“, ma nietylko we Francyi, ale w całym świecie opinię wytrawnego znawcy stosunków politycznych europejskich. W Rosyi nazwisko jego stanowi powagę, której nie osiągnął może nawet p. Melchior de Vogue, inny głośny pisarz francuzki zajmujący się również stosunkami rosyjskiemi.

Z tego względu opinia znakomitego profesora Akademi nauk politycznych o przyszłości naszego społeczeństwa musi budzić wysokie zainteresowanie. Na wstępie swego artykułu p. Leroy-Beaulieu zaznacza, iż należy do tych licznych jeszcze dzisiaj Francuzów, zachowujących wierność wielkim ideałom sprawiedliwości, które stanowiły chlubę dawnej Francyi, a wśród których niezmienna sympatya dla narodowości polskiej zajmowała zawsze jedno z miejsc naczelnych.

„Narody to osoby żyjące, najwyższe jednostki dziejowe; istnienie ich tem ważniejsze jest dla ludzkości, że każdy z nich posiada właściwego sobie ducha i charakter. Zabić jedną z narodowości, znaczy — okaleczyć ludzkość. To samo dowodzi, iż zniszczenie takiej narodowości, jak polska, byłoby nietylko zbrodnią polityczną, ale zamachem, wymierzonym przeciw ludzkości i przeciw cywilizacyi. Twierdzenie to tem prawdziwsze jest dla szlachetnej ojczyzny Matejki i Mickiewicza, iż Polska, w ciągu XIX stulecia wymazana z liczby państw samodzielnych, nie przestała na chwilę okazywać swej żywotności narodowej przez swą sztukę i przez swoje piśmiennictwo. Możnaby nawet dodać — zjawisko to rzadkie w dziejach i niemal paradoksalne, iż ongi potężna Polska nie okazywała nigdy żywotności równie intensywnej, nie wydała nigdy tylu poetów, artystów i uczonych, jak od chwili, kiedy przestała być państwem. Jest to rodzaj wyzwania, które stwierdza siłę idei narodowej i które stanowi zaszczyt dla mocy charakteru polskiego.“

W dalszym ciągu p. Leroy-Beaulieu dowodzi, że jeśli byt jednostek jest kruchy, narody posiadają żywotność potężną. Nic trudniejszego, jak zabić narodowość. Pomimo upadku politycznego, narodowość polska, tak żywotna w sercu swej społeczności i w duszy swych pisarzów, *ma prawo zwać się nieśmiertelną.*

Narodowość polska ma niezaprzeczalne prawo, w każdych warunkach politycznych, do swego języka, do swej religii, do swych tradycyj. Na tem polu żądania Polaków są słuszne, i nie można ich oskarżać, iż mają na celu zmącenie pokoju europejskiego. Niemożliwem jest, aby tym sprawiedliwym żądaniom odpowiadano wiecznie: nie...

„Ze strony Prus jednakże, Polacy nawet dla tych sprawiedliwych i skromnych żądań, mało mają widoków powodzenia. Nienawiść, którą Polakom zaprzysiągł Bismark, przeżyła go. Odwieczna nienawiść, jaką czuje Niemiec dla Słowianina, trwa zawsze. Żywotność, wciąż wzmagająca się, jaką okazuje narodowość polska, zwłaszcza w Poznańskiem, w starych Prusach, na Slązku, podrażnia jeszcze silniej biurokracyę pruską. Wstrętna hakata prowadzona w Wielkopolsce, jest najlepszym dowodem tego zaślepienia nienawiści pruskiej. Jest to systematycznie ułożony plan, zmierzający do wytępienia narodowości polskiej, a który Prusacy wprowadzają w czyn z bezlitośnem okrucieństwem. Ażeby bronić się od tej ohydnej germanizacyi, nigdy nie okaże Polak zawiele energii i wytrzymałości.“

P. Leroy-Beaulieu stwierdza, iż natomiast w Królestwie kongresowem widnokrąg jest jaśniejszy. Rosya pragnie być przyjaciółką i opiekunką Słowian. Wyzwoliwszy z taką chlubą Serbów i Bułgarów, nie może zapomnieć, iż w swoich granicach posiada Słowian starożytnego pochodzenia i świetnej cywilizacyi, którzy mają także prawo do życia narodowego. Zwrot opinii rosyjskiej w tym kierunku będzie odpowiadał zarówno chwale Rosyi, jak jej interesom.

P. Leroy-Beaulieu zaznacza, iż przekonanie to wypowiedział już w swem dziele „l'Empire des Tsars“ i że wielu Rosyan je podziela.

Trochę dalej p. Leroy-Beaulieu mówi:

„Czyż byłoby potrzebnem wykazywać przeszkody, których jest wiele, a których — doświadczenie dowiodło — nie można zwalczyć z bronią w ręku? Wszelkie próby rewolucyjne, podobne do dawniejszych zwiększyłyby tylko nieszczęścia. Trzeba mieć odwagę zastanowić się wyraźnie nad tem, co jest możliwe, a co niem nie jest. Jest to równie potrzebne dla narodów, jak dla jednostek. Dla jednych i drugich złudzenie jest potrawą niestrawną. Pierwszym warunkiem powodzenia w dzisiejszych warunkach społecznych jest zmysł praktyczny. Narody, jak stronnictwa, winny stawiać się tylko na g r u n c i e p o w a ż n y m, na gruncie faktów. Jedna z przyczyn nieszczęść, których Polacy doznali, była właśnie okoliczność, iż zbyt trudno godzili się z koniecznością. Polak XIX wieku był największym idealistą między wszystkiemi narodami. Niema się więc czego wstydzić; lecz sam interes sprawy polskiej każe mu stać się teraz praktycznym, pozytywnym. Jeśli się nie mylę, Polacy pod tym względem zyskali bardzo. Charakter polski, nauczony nieszczęściem przeszłości, zmienił się korzystnie. Wyszedł z wieku bezpłodnych marzeń. Cierpienia i rozczarowania przodków zrobiły innemi ich dzieci i w przeciwieństwie, do tego, co dzieje się zwykle: doświadczenie ojców nie zostało straconem dla ich synów. Można tylko winszować tej przemiany, bo jedynie w ten sposób podniesie się naród polski i przygotuje sobie lepsze losy.“

Wreszcie pisze p. Leroy-Beaulieu:

„Europa, stara Europa, znajduje się obecnie w stadyum przemian pod podwójnym naciskiem: idei, które w niej wrą, i nowych interesów, które ją przerabiają. Europa, a przynajmniej Europa kontynentalna, będzie zmuszona prędzej czy później zbliżyć swoje rozliczne ludy, zgrupować je i skonfederować węzłami natury ekonomicznej i politycznej, ażeby utrzymać swą potęgę wobec nowego świata i nowych kontynentów.“ Federacya różnych narodowości europejskich, nie jest próżną utopją.

W zakończeniu swego pięknego, nacechowanego szlachetną myślą artykułu p. Leroy-Beaulieu przypomina, iż wątpić w sprawiedliwość — to byłoby zarazem wątpić we wszelki postęp ludzkości. Przedewszystkim należy wystrzegać się wszelkiego pesymizmu, który osłabia siły życiowe... *S.*

Anglia a Niemcy.

Przyszli dziejopisowie nie pominą milczeniem roku ubiegłego, który upamiętnił się tak doniosłemi wypadkami, jak konferencya pokojowa w Hadze i szereg traktatów pomiędzy pierwszorzędnemi mocarstwami, dotyczących podziału kuli ziemskiej.

Uchwały zgromadzonej konferencyi pokojowej w Hadze są wszakże tylko życzeniami pobożnemi.... Pomijając bowiem rozszerzenie wątpliwego zresztą przywileju neutralności Krzyża czerwonego na wojny morskie — wszelkie dalsze powzięte i przyjęte uchwały konferencyi pokojowej są po prostu „szopką,“ a błahą w każdym razie tylko mrzonką bez wszelkiego praktycznego znaczenia. Najlepszym dowodem tego Anglia, w obec której zgoła nic nie znaczy potępienie używania pękających kul karabinowych oraz niektórych pocisków armatnich. Dalsze uchwały konferencyi nie mają nawet charakteru warunkowego i są raczej życzliwemi radami, z których korzystać mogą według woli znajdujące się w zatargu państwa. Co do pokojowego zażegnywania starć zbrojnych, przed ich wybuchem, lub w czasie ich trwania, uchwały konferencyi głoszą, że każde państwo — obowięzuje się(?) przed rozpoczęciem wojny, o ile okoliczności na to pozwolą, zaprosić jedno lub kilka państw neutralnych do wyświadczenia dobrej posługi lub pośrednictwa. Obrane przez obie strony państwa pośredniczące mają się starać zatarg załatwić przez rokowania polubowne... Sądy polubowne! Ładnie by Transwalczycy wyglądali, gdyby byli budowali nie na własnych siłach, lecz na — sądzie polubownym... Rozdrapanoby Transwaal na wszystkie strony jak ongi Polskę naszą i sprawa byłaby załatwioną — tak po sprawiedliwości dyplomatycznej — na drodze pokojowej!

Zasada obowiązkowości uchwał upadła na skutek protestu — Niemiec i Anglii.

O pokojowem załatwieniu zatargu anglo-tranwaalskiego zatem mowy być nie może. W wojnie pomiędzy Anglią a Transwaalem chodzi o to, czy Afryka południowa ma być angielską — czy też boerską a raczej niemiecką w przyszłości. Starły się tam zbyt żywotne interesy.

Nie należy więc dziwić się, że Anglia olbrzymie czyni wysiłki, by doprowadzić wojnę do pożądanego dla siebie końca i mylą się ci wszyscy, którzy sądzą, że zmusiwszy p. Chamberlaina do ustąpienia z posady ministra kolonii, wywołują przez to zmianę w poglądach rządu i narodu angielskiego na znaczenie i cele toczącej się wojny. „Indépedance Belge“ ogłasza właśnie szereg dokumentów, mających stwierdzić, że p. Chamberlain działał pod wpływem interesu osobistego.

Gdyby nawet prawdą zupełną okazało się, że wojnę wywołali akcyonaryusze min złotych, po za którymi stoi Chamberlain — i że oni największe ciągną z wojny zyski — nie wpłynęłoby to wcale na kierunek polityki angielskiej. Wobec rozszerzania się potęgi kolonialnej innych wielkich mocarstw, polityka ta w roku ubiegłym dążyła do zabezpieczenia W. Brytanii jej posiadłości dotychczasowych i zakresu obszarowego jej wpływów politycznych poza granicami Europy.

Uznanie zaś niezależności Transwaalu i odstąpienie mu nawet części obszaru swych kolonii równałoby się zupełnemu oddaniu całej Afryki południowej w ręce niemieckie; Niemcy bowiem już dawno ostrzą zęby na zagrabienie Transwaalu i tylko niedostateczna siła na morzu wobec Anglii wstrzymuje chwilowo zapęd germańskiego młota. Spieszy się więc Anglia, by niebyć kowadłem i zagarnia dla siebie złote miny Transwaalu. Nikt bowiem nie wyobraża sobie, ażeby patryarchalne, na bardzo nizkim poziomie kultury stojące republiki Oranje i Transwaalu, mogły długo wieść żywot samodzielny w sąsiedztwie „młota“ germańskiego, dla którego coraz nowych kowadeł poszukują kierownicy polityki niemieckiej.

Święciła ona w roku ubiegłym liczne tryumfy. Niemiecki Michałek nabył od Hiszpanii za 16 mil. marek piękne Karoliny, otrzymał na własność największą z wysp Samoańskich, poddał swemu wpływowi Turcyę, rozłożył się na dobre w Kiao-Czao, i zagiął parol na posiadłości portugalskie w Afryce, pod pozorem ratowania kredytu Portugalii. Trzeba się spieszyć, niema już bowiem prawie na całej kuli ziemskiej niezajętego lub nieupatrzonego przez kogoś kawałka gruntu. Świat dzieli się pomiędzy wielkie mocarstwa i wiek XX. ujrzy zapewne starcie się potęg olbrzymich na widowni wszechświatowej, na której zetknęły się już w wielu miejscach współzawodniczące wpływy.

Wojna transwaalska łatwo być może pierwszym aktem tragedyi wszechświatowej.

Cóż wobec tego warta konferencya pokojowa? *K.*

Spuścizna przeszłości.

„Jakież wrażenie zrobiło na Panu Poznańskie“?, zapytałem wielkopolskiego poetę naszego, pana Jana Kasprowicza, gdy powrócił ze swej wycieczki do Poznania, Inowrocławia, Miłosławia i okolic. Pan Jan był w ogólności zadowolony ze spostrzeżeń, jakie miał tu i owdzie sposobność zrobić. Spotkał wszędzie ślady świadomej siebie i swego celu pracy, widział dowody pracowitości, przekonał się o rozwoju poczucia narodowego. Zachwycony był schludnością, przestronnością chat wieśniaczych, w których znalazł jasne widne okna, piece kaflowe i podłogę z desek. Z uwielbieniem wyrażał się o działalności Kółka rolniczego w Szymborzu, na posiedzeniu którego był obecny, jednem słowem, wydawało się, że wrażenia, jakie zebrał, przewyższyły wszelkie oczekiwania jego. A jednak... Jednak na dnie zachwytów mimowoli odczułem jakieś „ale“. Rad byłem poznać co mogło mu popsuć dobre wrażenie i opowiedział mi jedno drobne zdarzenie, rozmowę z jakimś kupcem o „naszej sprawie“ — rozmowę, która tem się zakończyła, że kupiec uderzając dłonią po grubo wypchanym pugilaresie, odezwał się: Od tego tu, od dobrobytu zależy nasza sprawa! Starajmy się być przedewszystkiem zamożni!“

To „przedewszystkiem“, skierowane ku bogactwu, to dążenie do materyalnego dobrobytu i oko zwrócone zawsze ku bardzo ziemskim celom przejęło poetę jakby chłodem.

„Czy nie zabardzo zwracamy umysły i dążenia ku materyalnym, poziomym celom w przekonaniu, że osiągnięcie ich jest podstawą „naszej sprawy“. Czy nie zaniedbujemy kształcić ducha w kierunku idealnym?“ — Z takiem pytaniem w duszy wrócił nasz poeta do Lwowa.

Dużo by się dało mówić o kwestyi przez niego poruszonej, nieprawdaż?

Mniejsza o to, czy przelotne wrażenie naszego ziomka było trafne, lub nie. Jego uwaga, że obok kształcenia umysłów i charakterów w kierunku praktycznym, w kierunku dążenia do materyalnych korzyści, nie trzeba zapominać o kształceniu i rozwijaniu idealnych dążności jest w każdym bądź razie słuszna.

Cóż byśmy bowiem powiedzieli na to, gdybyśmy po zadaniu dwom młodym chłopczykom pytania, co zamierzają uczynić dla kraju, usłyszeli od jednego odpowiedź: że „jak dorośnie, pójdzie się bić

za ojczyznę", a od drugiego, że „będzie dążył do bogactw, i zachęcał do tego wszystkich, aby nasz naród dorównać mógł innym pod tym względem." Powiedzielibyśmy ostatniemu, że przedwcześnie umysł jego przejął się poglądami starości, a uściskalibyśmy pierwszego. Czy nie tak?

W pogoni za dobrobytem łatwo człowiek zapomina o celach wyższych i wreszcie cel swego życia upatruje w gromadzeniu bogactw, ceni społeczeństwo i ludzi nie na wagę ich charakterów, ich dążeń, pobudek ich czynów, lecz na wagę złota. O tak, bądźmy praktycznymi, nie trwońmy napróżno grosza, gdyż on zawsze przedstawia skapitalizowaną cząstkę pracy społecznej, uznawajmy w dobrobycie potężny czynnik, który zapewnia nam materyalną, a zatem i moralną niezależność; ale nie zapominajmy nigdy o tem, że on jest środkiem, nie celem; że jest wprawdzie warunkiem naszej niezależności moralno-umysłowo-społecznej, ale nie jej przyczyną. Nie wierzmy w to, aby społeczeństwo bogate miało być dlatego godnem przodowania w postępie ludzkości i aby zawierać miało przez to samo czynniki dalszego swego rozwoju. W naszej własnej historyi mogliśmy się przekonać, że czasy największej potęgi Polski były czasami, kiedy nie myślano jeszcze o gromadzeniu bogactw przez handel zbożem, kiedy nie potęgą złota, lecz potęgą żelaza imponować chciano obcym ludom. I na odwrót: spojrzyjmy na czasy upadku — a przekonamy się, że były one czasami największego kultu złota i używania. A czego nas nasza własna uczy historya, to samo znajdujemy i w historyi obcych narodów.

Spojrzyjmy wstecz na upływające stulecie. Czy to czynniki materyalne, czy to bogactwa, czy zasoby złota i srebra pozwoliły nam przetrwać tyle burzy, ostać się tylu zamachom, urągać tylu niweczącym nas edyktom i przenieść cało w nowe stulecie cenną, najcenniejszą ze wszystkich, arkę poczucia narodowego, arkę przymierza z przyszłością, u wrót której domagać się zawsze będziemy sprawiedliwości tak, jak dziś się jej domagamy? Czy to bogactwom zawdzięczamy? Nie. My to zawdzięczamy nie materyalnym, lecz idealnym czynnikom. Zawdzięczamy to niezliczonej ilości ofiar i poświęceń, jakie ponosiły jednostki na ołtarzu sprawy; zawdzięczamy to gorącej miłości ojczyzny, która szła z pokolenia w pokolenie, jako jedyna spuścizna. W czasach, gdy gdzieindziej, wśród bogatszych społeczeństw, bogactwa ojciec przekazywał synowi w testamencie, u nas nierzadko ci, co byli niegdyś bogatymi, pozostawiali synom jako jedyny majątek po sobie — imię patryoty. I dlategośmy się ostali.

Dlatego też, wskazując dziś ludowi, że pracą i jeszcze raz pracą zwalczać musimy zabiegi germanizatorów, zachęcając go do zabiegliwości, do skrzętnego gromadzenia zapasów, do oszczędności i ekonomicznego zużytkowania sił, wskazywać równocześnie powinniśmy drogę ku idealnym czynnikom, z których czerpie i czerpało dotychczas społeczeństwo nasze moc do odparcia germanizacyi, bo choć byśmy się wzbogacili, a stali się nieczułymi na dążenia idealne, to byśmy łatwo dojść mogli do stanowiska, z którego już krok jeden tylko do zamiany odrębności narodowościowej na brzęcącą monetę. A Niemcy chętnie by nas kupili i mieliby czem płacić.

Kazimierz Radwan.

Szkoła i życie.

Ludzkość od wieków powtarza mądre starożytnych zdanie: „uczymy się nie dla szkoły, ale dla życia", i mimo to całe wieki w najwięcej zasadniczej kwestyi wbrew jemu postępuje. Starożytna nauka, spełniwszy swą cywilizacyjną misyę względem narodów nowożytnych, pozostawiła im w spuściźnie martwe języki, jakby przez wdzięczność spadkobierców do wyżyn kultu podniesione i z dziwnym pietyzmem, z szczególniejszą czcią przez wieki i do dziś pielęgnowane. Łacina i greka mają kształcić serce młodzieży, być podwaliną szczęścia całej ludzkości, a w niektórych zawodach przedmiotem niezbędnym po wszystkie czasy. Pogląd ten powaga wieków, powaga mędrców i uczonych wszystkich epok uświęciła i przesądziła; pogląd ten wszczepiano swego czasu nam w umysły, jak i obecnemu pokoleniu młodzieży, powołując się na świetne zdobycze wiedzy we wszelkich dziedzinach. Rodzące się wątpliwości wypowiadano z nieśmiałością, niemal za zuchwalstwo i zacofanie poczytywano. W myśl wszakże odwiecznej a zapoznawanej prawdy, że szkoła istnieje nie dla szkoły, lecz dla życia i społeczeństwa, ostatnie powinnoby przedewszystkiem zabierać głos w tej sprawie i sądzić warunki wychowawcze z ich owoców.

Dziś zaś, wobec nowych wymagań, wobec rdzennie zmiennych i wciąż zmieniających się warunków bytu jednostki i całych społeczeństw, kwestya to o wiele donioślejsza, niż w czasach przeszłych.

Jedynem rozumnem zadaniem nauki wogóle, jak i każdego poszczególnego przedmiotu, jest rozwój i kształcenie umysłu. Bez tego byłaby ona nietylko bezcelową i nieużyteczną, lecz wprost szkodliwą.

Czy gimnazyum czyli wykształcenie średnie ma zadanie, oprócz rozwoju umysłowego, nauczyć czegoś i dla życia, dla przyszłej pracy i zawodu? Gdy dwóch zdań w tym względzie być nawet nie może, wypada tylko zbadać, o ile obecny program klasyczny, czyli nauka języków starożytnych odpowiada w rzeczywistości powyższemu celowi.

Języki starożytne uważane są dotąd za nieodzownie konieczne na wydziale prawnym i medycznym. Jako prawnik, wyznać muszę, co niewątpliwie wszyscy stwierdzą, że oprócz nieznacznej liczby cytat z prawa rzymskiego, których podanie w tłómaczeniu nierównie byłoby korzystniejszem, słuchacze prawa z łaciną więcej się nie spotykają i nie zachodzi żadna tego potrzeba, gdy tymczasem dla prawa cywilnego francuski, a dla karnego niemiecki są niezbędnemi. Znów grecki tak dalece jest zbytecznym, że sami profesorowie tego wydziału ogólnie zapewne niewiele więcej go pamiętają, niż wszyscy starsi, i napewno o wiele mniej, niż studenci, zwłaszcza pierwszych kursów. Niemal toż samo da się powiedzieć o medycynie, w której łacińskie nazwy chorób i lekarstw w oczach samych doktorów coraz więcej na powadze tracą i kiedyś niezawodnie uznane będą wszędzie za najzupełniej zbyteczny balast. Już i obecnie zwrot w tym kierunku, jak wiadomo, wybitnie ujawnia się w pismach i literaturze medycznej nietylko zagranicą, lecz i u nas. Ogólnie biorąc, tak prawnicy jak lekarze z własnego doświadczenia i życia niezaprzeczenie stwierdzą, że języki starożytne w nabywaniu i doskonaleniu ich specyalności w niczem pomocne nie były, nieznajomość zaś nowych języków niezmiernie tamowała gruntowne poznanie czy to całości, czy pewnych poszczególnych działów.

Z prawdziwem też zdziwieniem i zdumieniem częstokroć słyszymy, że zawo-

dowi lekarze, przez całą młodość dla swej specyalności przygotowywani, w najwyższych przybytkach wiedzy długie lata w niej tylko kształceni i jej wyłącznie się poświęcający, że nawet oni przypadkowo dowiadują się od ludu, jak to miało miejsce niedawno w kwestyi leczenia raka, o leczniczych własnościach pewnych ziół, od wieków przez lud prosty znanych i w odpowiednich okolicznościach stosowanych.

Czyżby wreszcie znachorstwo znajdowało tak powszechnie łatwowiernych wśród społeczeństwa, gdyby dzisiejsze pokolenie medyków oraz aptekarzy, zamiast kuć ze wstrętem tyle lat łacinę i greckie, poznało świat roślinny gruntownie, nie z suchych i szematycznych opisów lub dziecinnych rycinek? Dokąd klasycyzm przed lekarzami i całem społeczeństwem zasłaniać będzie przyrodę i jej tajniki, dotąd cudowni lekarze i środki, znachorzy i znachorki wszelkich stopni, sławni owczarze, najrozmajtsi szarlatani i sprytni felczerzy bezwątpienia liczyć mogą zawsze i prawie wszędzie na powodzenie. Przyszłość kiedyś wyświetli, że nauka starożytnych języków — jako kierunek szkolny — stanowczo nie jest nieodzowną. Prawo i medycyna nawet już w obecnej dobie to potwierdza. Dzisiejsza bowiem szkolna łacina — nauce greckiego i tej racyi brak — nietylko nie doprowadza, jak dawniej mniemano, do źródła, jakiem jest prawo rzymskie, ale tamuje dla braku czasu, możność poznania prawa tego znakomitych dawnych i nowoczesnych komentarzy, jego dalszego z duchem czasu rozwoju, wobec czego samo źródło straciło pierwotną cechę, wyschło i ma obecnie wprawdzie znakomitą, lecz historyczną już tylko wartość. Kto na wyschnięte źródło zdala tylko spogląda, bez możności czerpania z nowego jego łożyska, pragnienia nie ugasi.

Takie jest dziś istotne znaczenie i skutki nauki języków starożytnych dla specyalnych działów wiedzy: prawa i medycyny. A ponieważ języki te najgłówniej dla nich w dotychczasowym programie szkolnym są utrzymywane, każdy już wobec tego mógłby zapytać: w jakimże celu i dla czego tyle lat zmarnował nad piękną, lecz od wieków obumarłą mową, od której literalnie nic nie przybyło mu dla życia, dla coraz większych jego wymagań i potrzeb, której w ciągu wielu lat jedynie z musu się uczył wyłącznie dla szkoły, dla jakichś wymarzonych, w rzeczywistości najzupełniej zawodnych i nawet niezmiernie mglistych celów? *A. N,*

Sprowadzanie bon Szwajcarek.

W Wielkopolsce w sferach zamożniejszych i w średnio zamożnych zapanowała od lat paru moda uczenia dzieci języków obcych zaraz po wyjściu z niemowlęctwa. Dziecko, które swoim ojczystym językiem zadawalniająco władać nie potrafi, musi łamać języczek nad wymawianiem francuskich lub niemieckich wyrazów. Aby zaś lepiej i prędzej nauczyło się „parler„ lub „sprechen“, sprowadza mu Francuskę lub Niemkę wprost z rodzinnego miasta, z nad Sekwany lub z nad Sprewy. Czy zastanawiają się szanowni rodzice nad tem, z jakich sfer rekrutują się te nauczycielki wędrowne? Czy kantory stręczeń, które trudnią się importowaniem krzewicielek „europejskiej“ oświaty, dają jakąkolwiek gwarancyę co do moralnej wartości i pochodzenia sprowadzonych nauczycielek?

Rodzicom chodzi jedynie o to, by nauczycielka miała dobry akcent „paryski“ lub „berliński“. Jeśli kandydatka tym warunkom odpowiada, zostaje przyjętą i wprowadzoną do domu, którego progów ze swą moralną wartością być może przestąpić nie powinna. Nie potępiam wszystkich w czambuł nauczycielek przyjezdnych, ale któż zaręczy, czy taka „mademoiselle“ lub „fräulein“ nie była w swoim kraju kelnerką w restauracyi lub śpiewaczką w „cafée chantante?“ Bardzo być może. Są między niemi porządne, to nie ulega wątpliwości, lecz, niestety, okazuje się to dopiero po kilku miesiącach pobytu. A jeśli okaże się po kilku miesiącach, że było przeciwnie, któż zapłaci pokrzywdzonym rodzicom za te kilka miesięcy, jakie dzieci ich musiały być w niestosownem towarzystwie?

Jak się przyjmuje nauczycielkę Polkę do dzieci, nie przyjmie się „byle kogo“, pierwszej lepszej, jaka się trafi — żąda się rekomendacyi znanych domów, ale co do Francuzek lub Niemek, byle przyjechała prosto z Paryża lub prosto z Berlina — każda dobra. Szanowni rodzice! jeżeli już chcecie koniecznie w młodociane umysły wpajać umiejętności języków cudzoziemskich, powierzcie te funkcye naszym nauczycielkom – Polkom. One to uskuteczniać będą z równem powodzeniem, a może z większą starannością. A przecież tyle tych nauczycielek, sumiennych pracownic na ciężkiem polu pedagogicznem, poszukuje chleba — tyle ich z nędzy prawie przymiera! Nie sprowadzajcie więc nauczycielek z zagranicy, dając ten sam zarobek swoim pracownicom — a zarówno oszczędzicie własny grosz, jak i podźwigniecie z ubóstwa legiony biednych kobiet Polek. *Prawdzic.*

Z TYGODNIA.

Opinia publiczna w Londynie jest w niezwykły sposób zatrwożona wiadomościami z pola bitwy. Okazuje się coraz bardziej i widoczniej, że rząd nie ogłasza umyślnie niepokojących wiadomości o zwycięztwach Burów, rzekomo w tym celu, aby nie trwożyć ludności; jednak w samej rzeczy wywołuje to skutek wręcz przeciwny, bo rozchodzą się w formie plotek najsprzeczniejsze wieści, które przygnębiająco oddziaływują nawet na stan handlu i przemysłu. Generał Buller poniósł nową ogromną klęskę, tym razem nie atakując nawet sam Burów, lecz zaatakowany przez nich. W oblężonem przez Burów Ladysmith kończą się już zapasy żywności i jeżeli przybyli na plac boju nowi wodzowie w jakiś sposób nie przechylą zwycięztwa na stronę Anglików, to poddanie się tego obronnego i strategicznie niesłychanie ważnego punktu jest tylko kwestyą czasu i — cierpliwości Burów. W miarę opadania ducha wśród Anglików, nadzieja wstępuje w serce Burów. Prezydent Krüger wydał nową proklamacyę, zapowiadając rychłe ukończenie wojny zwycięztwem transwaalskich i orańskich armii połączonych. Tymczasem szerzy się powstanie w posiadłościach Anglików Natalu, zkąd całe tłumy powracają do Anglii, aby tam, przeklinając Chamberlaina i wywołaną przez niego wojnę, poruszać opinią publiczną opisami grożących Anglikom niebezpieczeństw. Podług urzędowej listy angielskiej dotychczasowa strata w ludziach wynosi około 8 tysięcy, w czem samych oficerów przeszło 500. Świadomi rzeczy twierdzą, że listę tę co najmniej podwoić należy, aby mieć pojęcie o stratach prawdziwych.

Położenie gabinetu Salisburego jest okropne, zwłaszcza wobec zbliżającej się sesyi parlamentarnej, której początek zapowiedziany na 30 stycznia. Upadek tego rządu wobec krytyki parlamentu wydaje się niewątpliwym — a zato bardzo wątpliwem jest, czy znajdzie się ktoś, coby spuściznę po lordzie Salisburym chciał objąć w podobnej chwili.

Obiega pogłoska, że rząd niemiecki nawiązał z Portugalią rokowania w sprawie zakupna wyspy Macao. Macao leży w pobliżu Hongkongu. Ma to być „szczutek“ wymierzony przeciw rozsiadłym tam kolonistom angielskim.

We Włoszech toczy się obecnie proces — jeden z najbardziej skandalicznych, jakie nowsze czasy mają do zanotowania: proces o zabójstwo senatora Notarbartolo. Proces ten — jest to właściwie śledztwo odsłaniające tajniki życia

politycznego i administracyjnego na Sycylii. Z tego śledztwa buchnęły takie wyziewy, pokazało się tyle łotrostw i tyleż złoczyńców udekorowanych, że nawet we Włoszech, które są nader wyrozumiałe na wszelkiego rodzaju przestępstwa, budzi niesłychaną sensacyę. Wskutek wykrycia faktu, że dotychczasowy minister wojny protegował jednego ze skompromitowanych, nastąpiła rekonstrukcya gabinetu z wyłączeniem tego ministra. Jako główny oskarżony występuje w procesie tym deputowany Pallizzoli, na uwięzienie którego zgodziła się izba deputowanych. W odpowiedzi na wiadomość oznajmującą jego aresztowanie Pallizzoli miał odrzec, że posiada w swem ręku tajemnice osób najwyżej postawionych i że dla obrony własnej użytek z nich zrobi.

Sejm galicyjski zgromadził się w ubiegłym miesiącu tylko na parę dni i został odroczony z powodu bezczynności wiedenskiej rady państwa. A tymczasem wiele spraw pilnych zalega, które nie mogą być załatwione z powodu walk niemiecko-czeskich. Do spraw takich należy sprawa statutu miejskiego w Krakowie. „Rada miejska uchwaliła większością głosów wniosek dyrektora Rottera, przyznający czynne prawo wyboru do rady gminnej wszystkim pełnoletnim mieszkańcom mężczyznom, przynajmniej od roku w gminie zamieszkałym“ — taką lakoniczną wiadomość rozniósł telegraf w końcu grudnia. Zapanowała po niej — wielka konsternacya. Austrya nie zna dotychczas w praktyce zasady powszechnego głosowania, a z tego powodu przyjęcie wniosku p. Rottera stało się pierwszorzędnej wagi wypadkiem politycznym, jakkolwiek wątpić trzeba, czyby uchwała sankcye potrzebne uzyskała. Lecz i z innego powodu zasługuje grudniowa uchwała krakowskiej rady miejskiej na wielką uwagę — a mianowicie z powodu, że właśnie Kraków, ten Kraków, któryby dziś chciał nagle przeskoczyć Pragę, Berno i Wiedeń liberalnością swej ordynacyi wyborczej, — posiada statut wyborczy najbardziej przestarzały i według współczesnych pojęć najbardziej zacofany ze wszystkich miast galicyjskich.

Zważywszy, że w Krakowie założyli sobie główną siedzibę socyaliści, dla dalszego społecznego rozwoju całej Galicyi nieobojętną było rzeczą usunięcie przestarzałych form, które łatwo służyć mogły socyalistom za broń agitacyjną przeciw autonomicznym władzom. Zarówno więc z tego praktycznego względu, jak i ze stanowiska czystej sprawiedliwości rozszerzenie prawa wyborczego wydawało się koniecznem.

Ale zupełne zniesienie granicy podatkowej, a nawet ominięcie kwestyi płacenia podatku wogóle, przy równoczesnem zniesieniu systemu kół wyborczych — obawiamy się, czy to nie zbyt nagły skok: od zacofanego dotychczas statutu do głosowania powszechnego. Pominąwszy już to, że sejm prawdopodobnie uchwale powyżej wspomnianej swej sankcyi odmówi, a prócz tego, występując z gotowym może własnym kontrprojektem, stworzy w samorządzie miast precedens bodaj czy pożądany dla rad miejskich, we wniosku p. Rottera upatrywać można raczej doktryneryzm liberalny, niż prawdziwie liberalną tendencyę skojarzoną z uwzględnieniem warunków i czasu. W społeczeństwie, które posiada jeszcze tylu analfabetów, co Galicya, trzeba zachować pewną harmonijność pomiędzy szerzeniem się inteligencyi wśród klas niższych, a dopuszczaniem ich do udziału w głosowaniu.

Jeśli kwestyi głosowania powszechnego nie bierze się po doktrynersku, nie upatruje się w niej *celu*, lecz *środek*, mający doprowadzić do uregulowania stosunków społecznych, to jako takiemu trzeba przyznać, że o jego wyborze decydują warunki, tak jak o wyborze lekarstwa decyduje stan chorego. W danym razie obawiamy się, czy dawka nie byłaby za silną. Galicya wogóle bardziej może, niż którykolwiek z krajów monarchii Habsburskiej, potrzebuje powolnego, lecz systematycznego rozwoju i z tego właśnie stanowiska zapatrując się, można widzieć w projekcie reformy wyborczej w Krakowie nagły skok od zacofania do wybujałego liberalizmu — który, obawiamy się, dobrych owoców nie może wydać.

Jak to było do przewidzenia, cesarski sekretarz stanu a dyrektor poczt, pan Podbielski, wobec interpelacyi w sprawie przesiedleń urzędników z Poznańskiego zastawił się tem, że stało się to bynajmniej nie na rozkaz berlińskiej dyrekcyi, lecz raczej wskutek rozporządzenia władz miejscowych, które działały zgodnie z interesem służby. Rząd uznał na ten raz jeszcze za stosowne schować się za parawanik interesów służbowych i do swych tendencyi antypolskich się nie przyznawać. Niby to czyny jego same za siebie dość nie mówią! *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Pomimo wielokrotnych ostrzeżeń prasy naszej, pomimo nawet okólnika władzy duchownej, lud nasz nie przestaje padać ofiarą niesumiennych wyzyskiwaczy niemieckich, którzy pod maską religijnych celów wyłudzają u niego pieniądze za rozmaite jarmarczne „świętości“.

Parę tygodni przed Bożem Narodzeniem objeżdżał jakiś wędrowny kupiec niemiecki powiat chojnicki, zbierając zamówienia na obrazy z przyrządem muzycznym (!) przedstawiające Narodzenie Pańskie, a wyłudziwszy moc groszy, ulotnił się, tak iż go poszukiwać musiała prokuratorya chojnicka listami gończemi. W niektórych razach ściągał on po 20 marek zaliczki za swe świętości, tłomacząc naiwnemu ludowi, że część pieniędzy pójdzie na budowę kościoła.

O ile ubolewać trzeba nad losem ludzi, którzy oszustowi wyłudzić sobie dali grosz ciężko zapracowany, o tyle znów im samym winę przypisać należy. Bo ci, co mają dla wydrwigroszów 20 marek, z pewnością mogliby zapisać sobie gazetę polską, a widocznie tego nie czynią, skoro nie znane im były ostrzeżenia pism polskich.

Do **„Gazety Gdańskiej“** pisze w tej sprawie jej korespondent z Chojnickiego:

„Dziwić się tylko muszę, że między nami jest jeszcze wielu łatwowiernych i takich co na polską gazetę żałują pieniędzy, ale niech tylko się kto zjawi, np. obraz z muzyką pokaże lub inną jaką nowość, to wtenczas sypią się grube talary i to nie żal tego. A przecież taki obraz z muzyką kosztujący 20 mrk., zaledwie połowę wartości przedstawia, podobnież ma się z innemi rzeczami.

Nie lepiej to pójść do rzetelnych znanych handli, n. p. p. Bonina i p. Smigierskiego w Czersku, tam towaru z pewnością się nie przepłaci, a co ważniejsza, że grosz nasz swojemu się dostanie, i nie pójdzie het za francuzką granicę. Postanowiłem więc zabrać głos, ażeby każdego ostrzedz przed wyzyskiwaczami, którzy z dalekiego świata do nas przychodzą, aby obłowiwszy się mogli z naszej głupoty za plecami się wyśmiać. Zaprzestańmy już raz bogacić przeciwników naszym groszem, a pokochajmy to, co swojskie; kupujmy wszystko u swoich, a zobaczymy, że na tem dobrze wyjdziemy.“

Uwagi „Gazety Gdańskiej“ każdy wiarus w Prusach Zachodnich do serca sobie wziąść powinien, a to tembardziej, że „Gaz. Gdańska“ w ostatnich czasach pokazała, że nie cofa się przed narażeniem na nieprzyjemności, gdy chodzi o to, aby prawdę powiedzieć i słusznej krytyce dać wyraz.

Dziwnej treści notatkę znaleźliśmy w **„Gazecie Olsztyńskiej“**. Przytaczamy ją poniżej jako curiosum, godne zresztą uwagi, ale czynimy wszelkie zastrzeżenia co do wiarogodności.

Otóż „Gazeta Olsztyńska“ pisze:

„Unteroffizier a. D. Herr Kuratus Kowalski, Gillau“, brzmi to po polsku: podoficer pozasłużbowy pan kurator (proboszcz) Kowalski z Giław. — O co tu chodzi? zapyta niejeden. „Kriegerverein“ w Wartemborku miał w niedzielę jeneralne zebranie, a na to zebranie przysłał członek, ks. proboszcz Kowalski z Giław swe powinszowanie dla „Kriegerverein“ na nowy rok. Korespondent „Volksblattu“ donosząc o tem, tak po niemiecku uczcił ks. Kowalskiego: Może się to niejednemu podobać, ale my sądzimy, że to niestósowna rzecz — splątać pospołu dwie takie nie licujące z sobą rangi: podoficera i księdza.“

Przypuszczamy, że cała ta wersya polegać musi na plotce. Nie dziwiłoby nas wcale, gdyby ksiądz miał rangę podoficera, i to również nie, gdyby tępe głowy jakie chciały go tak tytułować, jak powyżej podano: ale żeby ksiądz, Polak, na Warmii miał być członkiem związku wojaków? — Nie, w to nie wierzymy. Uważamy to za rzecz w naszych stosunkach niemożliwą. Wkroczyłaby w to władza duchowna już przez sam wzgląd na parafian Polaków, w których taki fakt nie wzbudzałby zapewne szczególniejszego nabożeństwa.

Dlaczego zresztą „Gazeta Olsztyńska“ żadnych od siebie uwag nie dodaje do faktu, który podaje? Pisma są u nas przecież nie tylko po to, aby wieści kolportować, ale żeby przekonania urabiać w ludzie.

Więc raz jeszcze pytamy: Czy to prawda?

Sądzimy, że „Gazeta Olsztyńska“ do sprawy tej powróci.

Kto zna choć powierzchownie Niemców, ten wie, że nic ich w gorszą wściekłość i zapamiętanie nie może wprowadzić, jak widok zdobyczy, którą już uważali za swoją, a która im się z rąk wymyka. Mamy tu na myśli zdobycze polityczne. Jeśli przeciętny szowinista niemiecki traci panowanie nad sobą na widok Polaka, noszącego niemieckie nazwisko, podejrzewając w nim dawnego Niemca, to bodaj czy nie większa wściekłość ogarnia Niemców na widok całych dzielnic, które się z ich rąk wymykają, a które podług ich wyliczenia miały być już „rdzennie“ niemieckiemi. Ztąd ta niezwykła zaciekłość na Górnym Slązku, ztąd w Prusach Zachodnich. Stosunki, jakie mianowicie w szkolnictwie wytworzyły się na Górnym Slązku, przechodzą wszelką miarę. Coraz częstszemi są wypadki, że nauczyciele przenoszą dzieci polskie do oddziału niemieckiego, pomimo protestów rodziców, jedynie dla tego, że ojciec lub matka umieją mówić po niemiecku — „są więc Niemcami“.

W jednym z ostatnich numerów lwowskiego **„Kuryera“** znajdujemy korespondencyę z Górnego Slązka, datowaną z Bytomia, a w niej taki ciekawy fakcik z praktyki pewnego górnośląskiego małomiasteczkowego nauczyciela:

„Znanem jest w całej okolicy, że te dzieci cieszą się szczególnymi względami pana nauczyciela, których ojcowie należą do niemieckich związków wysłużonych wojskowych (Kriegerverein). Nauczyciel, sam będąc przewodniczącym tego związku, w ten sposób stara się o zjednywanie mu nowych członków. I w istocie niejeden Polak z tych czysto praktycznych względów wstępuje do związku, a postępowanie nauczyciela wobec jego dzieci zmienia się w tej chwili jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

„W postępowaniu z ludnością polską, władze nie starają się zachować nawet jakiegoś takiego decorum prawnego. Oto kilka przykładów. W miasteczku Georgenberg mieszka pewien kupiec Polak, wielki patryota, założyciel towarzystwa polskiego i krzewiciel gazet polskich wśród ludu, zresztą człowiek jeszcze młody. Brat jego jest urzędnikiem pocztowym, również na Górnym Slązku (miejscowości umyślnie nie wymieniam). Bracia korespondują ze sobą dość często i kilkakrotnie, ów kupiec zwierzał się w listach bratu z wyników swej pracy nad ludem, z postępów oświaty i t. d. Posyłał nawet bratu książki i gazety polskie. Nie uszło to baczności władzy przełożonej. W tych dniach zawezwał urzędnika do siebie jego zwierzchnik i oznajmił mu, że wie o całej jego korespondencyi z bratem, surowo go zgromił za to, że będąc urzędnikiem niemieckim, koresponduje z bratem po polsku, zamiast starać się przerobić go z zaciętego agitatora polskiego na dobrego Niemca (!) a wreszcie zaznaczył, że jego samego bacznie będzie kontrolował, a w razie jakiegoś najdrobniejszego objawu uczuć polskich, wydali ze służby. Od tego czasu dymisya, lub w najlepszym razie przesiedlenie wisi nad tym urzędnikiem, jak to mówią, na włosku.“

Takie i tym podobne fakta stały się już oddawna systemem u nas — a my do tego systemu zastosować powinniśmy nasze środki obrony. Pocieszającem jest to, że choć wprawdzie z pozoru germanizacya robi postepy, są one wszakże bardzo powierzchowne i do głębi nie sięgają. Na jednostki tak już zgermanizowane, że na pierwszy rzut oka i iskierki z dawnej ich polskości nie pozostało, przychodzi nagle jakby chwila ocknienia, w której powracają znowu do świadomości swego pochodzenia i stają się najlepszymi Polakami. Nieraz jedna chwila rozmowy z dobrym Polakiem, odczytanie jednego artykułu gazety zupełnie niweczy wszystkie wyniki tych usiłowań germanizowania, któremi od kolebki aż do grobu chcieli nasze życie opasać Niemcy. Wprawdzie inteligencyi polskiej na Górnym Slązku jest mało, ale już wśród mas samych występują coraz silniej oznaki rozbudzonego ducha narodowego i prą coraz silniej ku wytworzeniu rodzimej inteligencyi górnoślązkiej. Na tej drodze też dokona się odrodzenie starodawnej dzielnicy Piastów, Slązka.

Idąc za przykładem Warszawy i Krakowa i Lwów chce uczcić pamięć Mickiewicza w sposób godny narodu, który ceni swych wielkich i zasłużonych ludzi. W **„Gazecie Lwowskiej“** znajdujemy następujący referat komitetu, utworzonego w celu postawienia pomnika Mickiewiczowi:

„Z radością dzieli się komitet budowy pomnika A. Mickiewicza we Lwowie ze społeczeństwem polskiem wiadomością, że sprawa tego pomnika wstąpiła w fazę wykonania.

„Na podstawie uchwały pełnego komitego, zawarto mianowicie w dniu 12 b. m. z autorem nagrodzonego modelu, artystą rzeźbiarzem p. Antonim Popielem umowę, według której p. Popiel przystępuje niezwłocznie do prac nad wykonaniem pomnika, tak, ażeby pomnik zupełnie gotowy mógł oddać komitetowi, a komitet naszemu miastu i społeczeństwu, najpóźniej do połowy października r. 1901.

„W przyszłym już roku zatem stanie we Lwowie kolumna Mickiewicza! Jedno z najgorętszych pragnień mieszkańców Lwowa i kraju będzie spełnione.

„Spełnienie tego pragnienia, a zarazem tego świętego obowiązku naszego, umożliwione zostało głównie dzięki ofiarności gminy m. Lwowa, która wiedziona patryotycznem uczuciem, ofiarowała na cel budowy pomnika 60,000 koron. Pomimo jednak tej tak szczodrej pomocy, komitet, który drobniejszemi składkami zdołał zebrać dotychczas około czterdziestu tysięcy koron, potrzebuje nieodzownie jeszcze pięćdziesięciu tysięcy koron, koszta bowiem budowy pomnika obliczone są na 150,000 koron, a komitet, licząc już subwencyę miasta Lwowa, ma dotychczas do rozporządzenia dopiero około 100,000 koron.“

O ile cieszyć się możemy z tego, że w całej Polsce — od końca do końca — wzrasta cześć Mickiewicza jako narodowego naszego wieszcza, o tyle smutkiem nas przejmuje wystąpienie w tej właśnie sprawie pewnego pisma, które stara się pracę podjętą ośmieszyć nazwą *pomnikomanii* — a zapominać nie należy, że jestto to samo pismo, które nawoływało do składek na pomnik narodowego (ale *niemieckiego*) męża, Wilhelma I w Inowrocławiu. Sam fakt nakazywałby w takiej sprawie nie odzywać się temu, kto sam sobie postąpieniem swem wystawił już raz pomnik... niepochlebny. *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Rogoźno, w styczniu 1900.

Szanowna Redakcyo!

Przez tyle tygodni czekałem napróżno, czy kto inny, zdolniejszy odemnie, nie ujmie się za obywatelami Rogoźna i nie odeprze chociaż w części zarzuty umieszczone w korespondencyi z Rogoźna, („Praca“ nr. 47 r. prz.) albo też poinformuje czytelników „Pracy“, dlaczego w naszem kochanem Rogoźnie, tak a nie inaczej się dzieje!

Ale trudne bardzo zadanie, odpierać zarzuty, kiedy są prawdziwe, a przyznać się do winy, i to nie łatwe. Również i ja sam nic uniewinniającego podać nie mogę, jak tylko potwierdzić zdanie szan. korespondenta, że źle, bardzo źle z naszą sprawą się stanie, jeżeli wszyscy Rogoźniacy nie wezmą się inaczej do pracy.

Dotychczas tak kupiec i przemysłowiec, jak doktor i adwokat są w rzeczy samej zależnymi od klienteli niemieckiej, nie może się zatem żaden z nich zajmować urządzaniem obchodów patryotycznych niechcąc być przez Niemców bojkotowanym, gdyż każdy mając rodzinę, dbać musi o jej utrzymanie.

Pozbędzie się więc odbiorców Niemców, kto mu wtenczas pozostanie? Żyd, których jest w Rogoźnie moc, popiera tylko żyda, bo nawet „rabi“ nakazuje w bóżnicy, aby od chrześcianina nie kupowano. Przeważna zaś część Polaków lgnie do żydów, jak muchy do miodu, omijając swoich.

Czy pod takiemi warunkami ma mieć przemysłowiec Polak odwagę, narażenia się Niemcom? Najlepszym dowodem mego twierdzenia były dni przedgwiazdkowe. Kiedy kupiec lub przemysłowiec Polak był bezczynny lub obsługiwał klientelę obcą, to panie Polki (a przeważnie te, od których żyd przez całe życie za szeląg nie kupi) zanosiły pie-

niądze od Polaków zebrane, do składów tutejszych żydowskich albo, co gorsza, nawet zawoziły takowe do żydów do Poznania.

Czy to nie wstyd i hańba dla tych pań Polek? Czy te panie mogą o sobie powiedzieć, że mają choćby odrobinę poczucia polskiego?

Czyż wreszcie nie powinny te panie pomyśleć i zastanowić się nad tem, że i dzieci ich, jedno lub drugie, poświęci się może kupiectwu albo przemysłowi i potrzebować będzie również poparcia? A może też córeczkę ukochaną połączy z kupcem lub uczciwym przemysłowcem ksiądz stułą ślubną. Kto zaś ma poprzeć ich dzieci, jeżeli ta matka Polka sama pomija składy polskie, dając tem zły przykład.

Wtajemniczeni w tę wadę kupowania pań naszych u obcych — uniewinniają je — iż chęć oszczędności je tam wiedzie, że towar jest o wiele tańszy niż u rodaków. Wierzajcie znawcom, że ta pozorna taniość jest rzeczywiście bardzo droga. Nie łudźcie się więc, panie, tą taniością, bo co tanie, to właśnie drogie. Tylko upór i lekkomyślność wodzi do obcych.

Przecież wiedzą te panie bardzo dobrze, że żaden żyd lub innowierca fenigiem nie wesprze ani ich dzieci ani też instytucyi dobroczynnych, że konwikt i wszystkie inne zakłady i instytucye li tylko ze składek i zapisów, z polskich rąk pochodzących, się utrzymują. A może te panie nawet dla dzieci swoich już wsparcia z tychże instytucyi pobierają, albo w przyszłości pobierać będą, na które ten i ów przemysłowiec Polak swoją składkę złożył?

Czy może tedy dziać się w Rogoźnie inaczej?

Wszak dotychczas mimo owego drugiego policzka, który obywatelstwu Rogozińskiemu w owej korespondencyi w „Pracy„ nr. 47 wymierzonym został, nikt się obchodem publicznym na cześć Słowackiego i Chopina nie zajął.

Ale niechby tylko wszyscy powiedzieli sobie, „swój do swego“, to dali Bóg, że nie potrzebowalibyśmy obawiać się ani hakatystów, ani kolonizacyi, nie potrzebowalibyśmy żebrać względów u obcych, ale stanęlibyśmy na własnych siłach, a wtenczas nie powiedzianoby o obywatelach Rogozińskich, że obcą im jest polska piękna literatura i bogate piśmiennictwo, *że nie ma w ich sercu iskierki narodowej.*

Znalazłyby się nie jednostki, ale całe grona obywateli, którzyby zajęli się urządzeniem tak potrzebnych obchodów narodowych, bo inteligencyi i dobrych chęci obywatelom Rogozińskim odmawiać nie można.

Wierny abonent „Pracy“.

* * *

Gliwice, (Górny Śląsk) w styczniu 1900.

Szanowna Redakcyo!

Nie mogę się od tego wstrzymać, choć w opóźnieniu, żebym też parę słów nie nadesłał z życzeniem Nowego Roku, i zarazem poprosił bardzo uprzejmie o parę jeszcze egzemplarzy numeru świątecznego do rozdania między znajomych, gdyż się o tem przekonałem, że to bardzo mało chybia celu i prawie z otwartemi rękami mnie przyjmowano, gdym komu zaprezentował „Pracę“. Nie zawadzi, jeżeli tu przytoczę jedną rozprawę z mojem przyjacielem, w celu pozyskania go dla „Pracy“. Mojem zadaniem powziętem jest zawsze, gdy kto do mnie przyjdzie, albo gdy się z kim zejdę wspomnieć o „Pracy“. Ludziom inteligentnym dość jest podać numer „Pracy“ do czytania, to już oni wiedzą, o co chodzi, ale inaczej sprawa stoi z ludem mniej oświeconym. Tu trzeba namawiać i objaśniać, a zawsze trudno jakoś coś zaszczepić. Podczas świąt przychodzi do mnie przyjaciel, ale niestety, jeden z takich, u których zawsze termometr oświaty stoi poniżej zera. Więc nie miałem ochoty jakoś z nim dyskutować o sprawach naszych i wiodłem rozmowę o wypadkach mniej ważnych.

Lecz nadspodziewanie rozmowa nasza wnet się ożywiła szczęśliwym przypadkiem. Przyjaciel mój się rozgląda po pokoju i spostrzega na ścianie między innemi obraz Mickiewicza. Kto to jest? pyta mój przyjaciel. To jest Mickiewicz. A czy to jest jaki król? A tak, to jest król pieśniarzy czyli poetów. I skorzystałem z chwili, zacząłem mu tłomaczyć i objaśniać go, co to jest poeta, poezye, myśląc sobie przytem słowa naszego wieszcza:

„Obym też kiedyś dożył tej pociechy,
„Aby księgi te zbłądziły pod strzechy“.

I w mig skoczyłem do szafy, wyciągając jego dzieła, a dla lepszego pojęcia zacząłem mojemu przyjacielowi czytać z „Pana Tadeusza“:

„Litwo, Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie,
„Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
„Kto Cię stracił“ —

Patrzę na mego przyjaciela ukradkiem, a widząc, że twarz mu poważnieje, więc czytam dalej w księdze III-ciej:

„Hrabia wracał do siebie i konie wstrzymywał,
„Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał“ —

Widząc, że mój przyjaciel coraz bardziej się interesuje „Panem Tadeuszem“, przystępuję do „Dziadów“, żeby mu i ztamtąd przeczytać niektóre ustępy. Przyjaciel słuchał tak ciekawie, że się aż ruszał w krześle. Gdym skończył, przyjaciel wstaje wzruszony i mówi mi: A zkądżeś, bracie, takie ciekawe dzieła nabył, albo o nich się dowiedział? Odpowiedziałem prawie ze smutkiem: A czy to nasze gazety mało o tem pisały i podawały różne illustracye, jak np. „Praca“ z Poznania, co tam leży na stole i skoczę powtóre do szafy, bo właśnie teraz pora; wyciągnąłem z niej numer „Pracy“, poświęcony pamięci Mickiewicza, zacząłem pokazywać miejsce urodzenia poety, Zaosie, jego przyjacieli, pomniki i t. d. i skierowałem rozmowę teraz szczególnie na „Pracę“, tak że w końcu mój przyjaciel rzecze do mnie: Nie miałem dotąd tego tak pięknego pisma i zapiszę sobie takowe natychmiast. Ot toś mi chwat! pomyślałem sobie. I owszem odpowiadam, a to niezwłocznie i będąc już pewny, idę po raz trzeci do mojej szafy, podpisuję mu kwit do zamówienia i podaję mu go z prośbą, żeby go oddał na poczcie, a będzie dostawał każdy tydzień „Pracę“, z której się zaraz nauczy inaczej myśleć i która rozweseli serce jego, tak, że ta malutka już gasnąca iskierka poczucia narodowego rozpłonie u niego ogniem na nowo.

I tak rozweselony dobywam jeszcze całe album obrazków z „Pracy“ i pokazuję mu: „Szarża jazdy“, „Zdobycie olszynki“, „Wojsko polskie“, „Herb polski“ itd. wogóle wszystkie obrazki, które wyszły z „Pracy“ i darowałem mu te, które posiadałem w duplikacie, bo resztę składam sobie jako album. Wreszcie pożegnałem się z nim, życząc mu powodzenia w Nowym Roku i prosząc go, żeby został stałym abonentem, na co mi dał słowo.

I na tem kończę, życząc zarazem „Pracy“, żeby urosła do olbrzymich rozmiarów. Bracia, niech każdy z Was zachęci znajomego, popchnie obojętnego do zaabonowania „Pracy“, a z dumą możemy Hakacie pokazać, że umiemy się trzymać oburącz!

Stary abonent
Emanuel Jan Biskupek.

DO MATKI!

O Matko, czuwaj nad drobną dzieciną,
Co dziś z swawolą za próg biegnie chaty.
Niech z twoich oczu kroki jej nie giną -
Swiat wielki, matko! w zasadzki bogaty...
Patrz nóżek dziecka, jaką idą drogą,
Za cel ostatni wskazuj zawsze niebo...
Dłonią troskliwą usuwaj cierń wrogą,
Matczyne oko dziecku jest potrzebą!

O Matko, patrz, by nikłe te rączęta
Zawsze do pracy zginały się żywo;
Niech i do modłów wznosi je myśl święta,
W modłach i w pracy dolę dasz szczęśliwą.
Niechaj te rączki nie chwytają czary
Złudnej w słodyczy a z goryczą na dnie...
Matko! strzeż nóżek, strzeż jej rączek pary,
Zanim ten skarb twój w otchłań złego padnie.

O Matko, dzieciom bądź nauczycielką,
Rozniecaj światło — ucz w każdej godzinie,
W te małe serca wlewaj wiarę wielką,
Wiarę, bo tylko w niej zbawienie płynie!
Strzeż je, ochraniaj od przeciwnej burzy
Na podobieństwo wiosennego kwiatu...
Bóg tobie, dziecię dał jak pączek róży,
A ty... człowieka winnaś oddać światu.

Zwolenniczka „Pracy“.

Rocznica wielkiej epopei.

Francya przeżywa obecnie okres rocznic wielkiej epopei, która uświetniła początek ubiegającego stulecia. Lat temu sto, przełomowy rok 1800 przekraczał „mały kapral“ Napoleon Bonaparte (ur. w Ajaccio na Korsyce d. 7 stycznia 1768 r.), którego widziały już Apeniny i na którego z wierzchołka piramid spoglądało czterdzieści wieków, jako „pierwszy konsul“, obrany wolą narodu w grudniu 1799 r. Odtąd „mały kapral“ i wielki generał, wielki zdobywca i wódz genialny szedł po stopniach „konsula dożywotniego“ do korony cesarskiej, która spoczęła na jego skroniach w dniu 20 maja 1804 r. Rok 1800 uświetnił pierwszy konsul słynnem przejściem śnieżnych Alp, śladami Hannibala i równie słynną bitwą pod Marengo (14 czerwca), której rezultatem był pokój Lunevilski (9 lutego 1801 r.) z Austryą.

Zmierzcha się więc nad Francyą stulecie — które rodziło się w krwawej zorzy i które na pierwszej karcie zapisywało imię nowego cezara. Nie weszło jeszcze słońce Austerlitzu, lecz już przedświt widział Piramidy, ozłacał złachmanione i osmalone prochem „widma włoskie“, słyszał krok miarowy grenadyerów i piastował narodziny „wielkiej armii“ i „starej gwardyi“. Daleko było do Waterloo, do Elby, do Św. Heleny, a orli profil konsula z wyżyn Alp dopiero obejmował dalekie horyzonty.

Od tego czasu z głowy Napoleona zdarto niejeden promień aureoli, orle rysy cezara przyćmiono nieraz mgłą trzeźwej krytyki, tryumfy oręża rozpatrywano jako trupy i zgliszcza, na tło krwawych łun rzucano wielką ambicyę, na tło poświęceń i wielkiego entuzyazmu — wielki egoizm. We wszystkiem tem tkwi zapewne i tkwi niewątpliwie wiele prawdy, a jednak dziwić się nie można, że na schyłku stulecia, które zapisało ostatnio na kartach historyi Francyi — Sedan i rok 1870, w ojczyźnie przybranej cezara coraz częściej zwracają się oczy ku tym zamierzchłym czasom i tym gasnącym zorzom, co przyświecały wielkiej armii i wielkiej epopei.

Rozpędziwszy niezdolny do rządów dyrektoryat i oblókłszy się w godność konsula, Napoleon spieszył na pomoc zagrożonej armii włoskiej i na podbój Auzońskiej ziemi.

I tam, na „ziemi włoskiej“ legiony polskie złożyły daninę krwi, więc nie będzie chyba zbytecznem przypomnienie tej karty dziejów również na przełomie dwóch wieków...

Jaki plan przygotował zdobywca z pod Piramid? Oto chce on przedewszystkiem zadziwić Europę sforsowaniem Alp śnieżnych i wąwozów Św. Bernarda, nietkniętych od czasów Henryka Rudobrodego. Przyspiesza organizacyę półbrygad, porzuca Paryż 6 maja i odbywa w Dijon przegląd tych obdartych zastępów, które Austryacy nazywali „widmami“, i rzuca tę armię ku Genewie, zkąd inżynier Marescot raportuje:

„Mamy przejść przez pola, okryte śniegiem, którego głębokość wynosi 4—7 stóp w wąwozach, mamy przed sobą przepaść i lodowce. Chłopi z dolin nienawidzą nas i nie dadzą nam mułów. Tylko zakonnicy z góry Św. Bernarda życzą powodzenia naszej wyprawie.“

Awangarda tej armii, nazwanej rezerwową, i liczącej 50,000 ludzi oraz 66 dział, przybywa do stóp Alp, podczas gdy w Lozannie wysłaniec Masseny podaje konsulowi wyciąg z dziennika oblężenia Genuy.



Napoleon Bonaparte.

„W d. 16 germinala (kwietnia) — czytamy tam — feldmarszałek Melas zamknął ostatecznie nasze wojska. Przeciw 15,000 Francuzów stoi pierścień opasujący piećdziesięciu tysięcy Austryaków, upojonych powodzeniem. Od 30 germinala potrzeba się żywić chlebem z jęczmienia i owsa. Poświęcono konie kawaleryjskie. Sztab oddał swoje zapasy chorym, którzy przepełniają szpitale. Mimo to z powodu braku środków aptekarskich śmiertelnosc staje się straszną. Na ulicach widać ludzi chwiejących się na nogach; od wrót do wrót czołgają się wycieńczone kobiety, błagając o kawałek chleba; trupy, rzucone na ulicach, przy blasku pochodni, zapalanych wieczorami, przedstawiają nieopisany widok. Mimo to, wśród tej klęski powszechnej, wśród nieszczęścia, Massena z czołem wzniesionym dumnie, nie chce mówić o kapitulacyi. Owszem; chodzi on od domu do domu, wzywając rekruta; uzbraja on te posiłki i posyła w ogień.“

Napoleon decyduje się szybko. Wojsko otrzymuje rozkaz przyspieszenia marszu i podążenia jednym tchem do Piemontu na pomoc Massenie.

Lannes, dowódca przedniej straży, przeszedł Bourg-Saint-Pierre i obozuje w Proz.

Przed oczyma wojska milczące Alpy wznoszą się z prawej i lewej strony. Na wysokości, która jest siedzibą orłów, śnieg wypełnia zagłębienia ziemi; wyżej jeszcze rozściełają się lodniki wśród słupów granitowych o formach dziwacznych. Wszystko to wydaje się bliższem nieba niż chmury, a ludzie zdają się tu dziwnie maluczcy. Przy wejściu do Proz widać część wielkich Alp włoskich, a nad niemi wznosi się Mont-Mort ze szczytem jakby ukutym z lodu. Zewsząd otwiera się panorama falista, alpejska, zamykająca szczelnie horyzont. Tylko wzdłuż rzeki Drance otwiera się wąwóz, po którym odważają się chodzić górale jedynie w połowie czerwca, po stopnieniu śniegów. Ten wąwóz, prowadzący do klasztoru św. Bernarda, ma długości 9 kilometrów. Tędy wyruszają wojska, ciągnąc za sobą działa i zapadając w śniegu po kolana.

Dzieje się to d. 17 maja 1800 r.

Oto obraz tego nowego przejścia Hanibala przez Alpy: W miarę jak wojska posuwają się przez wąwóz, mróz się wzmaga. Lód skrzypi pod krokami żołnierzy, z których niektórzy posuwają się boso. Wojsko przechodzi przez mosty bez poręczy, przez wiązadła zawieszone nad przepaściami. Długi wąż sześciu tysięcy wojska i 250 mułów posuwa się milcząco na przestrzeni pięciu kilometrów.

Nagle zrywa się huragan i wywołuje zamieszanie w szeregach. Latarnie gasną i wojsko nie śmie posuwać się naprzód z obawy wpadnięcia w przepaść. Oficerowie komenderują. Stój!

Tylko gen. Carra Saint Cyr na czele 1 batalionu 18 pułku lekkomyślnych, rozkazuje doboszom i trębaczom grzmieć pobudkę. Lecz bębny pokryły się lodem, a trąbki zamarzły. Wśród zawieruchy i sypiącego się śniegu trzy bataliony pułku 19, dając sygnały z broni palnej, posuwają się naprzód. W ten sposób przez dwie godziny zrobiono zaledwie 250 metrów. Nareszcie przybiegają zakonnicy i wskazują drogę. Żołnierze zasypiają na słomie w korytarzach klasztoru. Tymczasem piętnaście innych batalionów zatrzymuje się w środku wąwozu.

Bonaparte przybywa do Boury St. Pierre, prezyduje na radzie wojennej w oberży i oddaje się przewodnikowi Dorsazowi, który ma go na mule przeprowadzić przez Alpy. Za nim podążają Duroc i Bourienne.

Opuszczając St. Pierre konsul miał minę ponurą i był dziwnie milczący. Popędzał on w milczeniu muła, ku przerażeniu przewodnika, który obawiał się wypadku. Nagle opuścił cugle i pogrążył się w zadumie. Droga snuła się wśród przepaści, których sam widok

sprawiał zawrót głowy. W głębi szumiała Drance.

Wtem muł, nagle ściśnięty ostrogą, obsuwa się, pada na przednie nogi i napróżno usiłuje się podnieść. Napoleon chwieje się w siodle, gubi lewe strzemię i przechyla ku przepaści. Wtedy Dorsaz obraca się i chwyta konsula za połę ubrania. Silna ręka przewodnika ocaliła Napoleona. Dorsaz usadowił go na siodło, podczas gdy muł ruszył w dalszą drogę.

Bonaparte odwiedził klasztor Bernardynów, był w kościele i potem ruszył ku Włochom. Z góry św. Bernarda zakonnicy, ojcowie Murith i Tenetaz wskazywali mu drogę do Piemontu.

Armia przechodzi wreszcie szczęśliwie i odnosi pierwsze zwycięztwo. Fort Bard zamyka jednak drogę do Piemontu. Lannes przechodzi pod działami fortecy i Austryacy pobici są pod Romano. Jednakże Napoleon zmienia plan. Rzuca on konnicę na równiny Lombardyi i zdobywa Nowarę, Pawję i Medyolan.

Konsul pragnął odbyć do Medyolanu wejście tryumfalne. Nie chciał on wjechać tam konno, jak zdobywca, lecz w pełnym mundurze generalskim wsiadł z generałami Posiet i Bourienne do karety, ozdobionej złoceniami i należącej do margrabiego del Monte.

Przy wjeździe do Quarta Cagnino zrywa się burza z ulewą; woda przedziera się przez źle spojony wierzch karety i konsul musi się zatrzymać we wsi San-Pietro-in-Sala. Bonaparte, odziany w płaszcz, wypytuje się chłopów, którzy z podziwieniem spoglądają na wspaniałą karetę i błyszczącą od złota eskortę. Wreszcie, gdy burza nie ustaje, korowód rusza ku utrapieniu zwłaszcza sztabu, który znajduje się w stanie iście opłakanym.

O godz. 6 ej Bonaparte wjeżdża przez bramę Verceil. Murat ustawił już szeregi wojska, które zewsząd otacza tłum. Wbrew jednak przewidywaniu konsula, który spodziewał się okrzyków i wiwatów, tłum pozostaje skupiony i milczący. Sprowadziła go tutaj tylko ciekawość, ponieważ mówiono, że Bonaparte jest więźniem Anglików, a nawet poległ na polu bitwy. Chciano więc zobaczyć, jak wygląda osoba podstawiona. Kilka osób jednak poznało konsula, jednak bez oznak zadowolenia. Bonaparte przybywa wściekły do pałacu arcybiskupiego, który Austryacy zniszczyli do tego stopnia, że szukać trzeba było najniezbędniejszych rzeczy na przyjęcie dostojnego gościa.

Tymczasem Bonaparte dowiaduje się w Medyolanie przez szpiega Tolego o projektach nieprzyjaciela. Republika cysalpejska jest przywrócona, Genewa poddała się dnia 5 czerwca, a feldmarszałek Melas wysyła już pierwsze oddziały ku Napoleonowi. Gen. Ott spotyka się z armią Bonapartego pod Montebello.

Wreszcie dnia 14 czerwca 1800 r. na obszernych równinach, które zamykają Bornuda, Scrivia i Tonaro, przychodzi do walnej bitwy. Losy się ważą, pięć dywizyi francuskich jest prawie złamanych, gdy nagle przybywa Desaix, wysłany poprzedniego dnia do strzeżenia drogi pod Novi. Wysyła on Bondeta z trzema półbrygadami w bok nieprzyjaciela i sam bierze udział w ogólnym ataku. Ruch ten decyduje o zwycięztwie. Austryacy przechodzą przez rzekę Birmidę, a Bonaparte szuka Desaix, aby go uścisnąć na polu bitwy.

Próżne poszukiwanie. Desaix padł przy pierwszych strzałach, trafiony kulą w serce. Wśród zamieszania bitwy nie spostrzeżono nawet jego upadku. Ubrany w mundur niebieski bez galonów i złoceń, został on nie spostrzeżony wśród trupów przez wojska francuzkie. Dopiero wieczorem jego adjutant Savary z czterema strzelcami udaje się do miejsca, gdzie pułki lekkokonnych odpierał pułk Walliego. Tu znaleziono generała, odartego już przez maruderów i odznaczającego się tylko swemi długiemi włosami. W piersi widniała straszna krwawiąca rana.

Przeniesiono zwłoki jego na płaszczach żołnierskich, zabalsamowano i złożono w klasztorze św. Bernarda, gdzie Napoleon ufundował mu pomnik w stylu klasycznym, zgodnie z duchem epoki.

Tak się skończyła pamiętna bitwa pod Marengo, która zadecydowała o losach Włoch i drugiej kampanii. Tysiące najszlachetniejszych synów Polski przypieczętowało tę kampanię krwią własną.

Takiemi wspomnieniami Francya współczesna zamyka stulecie i otwiera nowe. Są to wspomnienia, na które padają być może, krwawe łuny, ale wspomnienia, bądź co bądź, wielkie. Co dziś skarłowaciała Francya może przeciwstawić tej epopei? Czy swą bieżącą historyę, pełną poziomych afer i awantur? Samo imię Marengo elektryzuje, gdyż na jego zaklęcie wstają prawdziwie homeryczne postacie. Znów wieją poszarpane sztandary widm włoskich i w dawnej aureoli oddalenia kroczy wielka armia przez śnieżne Alp szczyty. Zda się, słychać te grzmoty odległe, ten chód miarowy legionów, które przekraczały wówczas śmiałą stopą pod godłem zwycięztwa z jednego stulecia w drugie.

E. B.

(Dokończenie nastąpi.)

Pogrzeb Ojczyzny.

(W rocznicę powstania styczniowego).

Czy słyszysz dzwonów żałosne tony,
Jak one strasznie... grobowo brzmią?
Czy widzisz tłum ten jakiś wzruszony,
Jak każde oko zamglone łzą?

O — bo Ojczyzna nasza skonała,
Bo opuściła już dzieci swe —
Popatrz za trumną — to Polska cała!
Widzisz jak tłum ten złowrogo wre?

Podnosi ręce — zaciska dłonie
Zmartwiałe serce przenika czar —
Tam z boku kroczy w polskiej koronie
Drapieżny szakal — krwiożerczy car!

Ten co był nieraz tej Polski jeńcem,
Co przed nią zawsze z bojaźni drżał,
Szarpie jej głowę cierniowym wieńcem,
Gdyż resztę ciała już sępom dał!

A my bezsilni, bólem przybici
Patrzymy z jękiem na Matki kres,
My nawet żalić musim się skryci,
Gdyż nam nie wolno wylewać łez!

Grobowa cisza zaległa w ludzie,
Błagalne modły ku Stwórcy mkną,
I każden ziemi rzuca po grudzie —
Oczy każdego łzami się lśnią!

Powstali z grobów starzy wodzowie,
Świadki jej sławy z minionych lat,
Powstali razem nasi królowie
I legły w wojnach rycerstwa kwiat.

Biorą swą Matkę do Stwórcy Pana,
Wiodą, gdzie grona aniołów tan —
A naród zmartwiał... padł na kolana,
Zgięły się głowy, jak zboża łan!

Wtem wstaje Matka i łzami zlane
Oczy swe zwraca na dzieci swe:
„Ocknij się ludzie, ja zmartwychwstanę,
„Skończą się bólów i męczarń dnie!

„Bóg nas doświadcza — chylcie więc czoła
„I proście łaski u Jego nóg,
„A dobry Ojciec znów mnie powoła
„I znowu wstąpię na ziemski próg!"

Adam Wilusz.

Sambor, Galicya, w styczniu 1900.

Intronizacya Arcybiskupa pragskiego

odbyła się w Pradze w niedzielę, 14 bm. z wielką okazałością. Czesi nie pominęli niczego, aby przytem zaznaczyć swoją samodzielność narodową i swoje historyczne prawa do całego Królestwa czeskiego. Można sobie wystawić, że przy obecnych stosunkach zrobiło to nie małe wrażenie nie tylko w Pradze, ale i w całych Czechach.

Prezydent m. Pragi, dr. Podlipny, witając nowego Arcybiskupa, Skrbenskiego, w imieniu miasta i kraju, wyraził nadzieję, że Arcybiskup ukoronuje kie-

dyś w katedrze św. Wita króla czeskiego. Między innemi rzekł: „Wasza Arcybiskupia Mość zajmujesz w kraju naszym podług historycznych praw czeskich po Jego Królewskiej Mości pierwsze miejsce. Ta perła korony Habsburgów wzbudzała



Ks. arcybiskup pragski, Leon Skrbensky.

nieraz pożądliwość innych, a i teraz rozkładowe żywioły starają się podkopać znaczenie Królestwa czeskiego i jego praw. Zapewniam, iż w kraju naszym, Król i Wasza Arcybiskupia Mość, opierać się mogą niewzruszenie na patryotyzmie ludu czeskiego, na naszej wierności, na naszem przywiązaniu do słowiańskiego języka, którego używali Cyryl i Metody.“

Ks. Arcybiskup rozpłakał się podobno, wysłuchawszy tej mowy. Gazety pragskie nazajutrz — kiedy już dobrze znane były słowa cesarza, wypowiedziane do posła Stranskiego, rozpisały się, że naród czeski będzie się wiernie trzymał jedności i prawnej niepodzielności Królestwa czeskiego. *S.*

Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i złotych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I dębów trzask, i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!

Marya Konopnicka.

Z przygotowań do wystawy paryskiej.

(Illustracya drugostronnie).

Świat cywilizowany stoi obecnie w przededniu wielkiej, poważnej i wspaniałej uroczystości międzynarodowej, na jaką zapowiada się najbliższa wystawa paryska.

Paryż, z którego na początku stulecia szły pułki za pułkami, niosąc na cały świat zarzewie wojny, w jednej dłoni śmierć i zniszczenie — a nadzieję wolności w drugiej, zaprasza pod koniec wieku do szlachetnego pokojowego współzawodnictwa na polu sztuki, rzemiosł i przemysłu.

Wystawa wszechświatowa w Paryżu to wielkie dzieło pokoju i jego owoc. Mając za cel przestudyowanie i porównanie najdoskonalszych zdobyczy ducha ludzkiego, wystawa ta nie jest czczą zabawką, za jaką ją biorą niektórzy, lecz wielkiem dziełem cywilizacyi.

W zestawieniu zdobyczy ducha ludzkiego z ubiegłego stulecia na pierwszym planie staną wynalazki zastosowujące parę i elektryczność na usługi człowieka. Te duże siły wywołały w stosunkach społecznych olbrzymi przewrót, a dzięki im postąpiła ludzkość o wiele więcej naprzód, niż w ciągu całego szeregu innych stuleci. A chociaż wiek XIX przyniósł równocześnie przewagę militaryzmu, zbrojny pokój i mordercze machiny, to nie uszczuplają one wartości innych zdobyczy. Zadaniem przyszłych pokoleń będzie w spuściźnie, odziedziczonej w naszem stuleciu, oddzielić zło od dobrego, cienie od świateł, chwasty i plewy od ziarna.

Zadaniem otóż przyszłej wystawy będzie w umiejętnem ugrupowaniu zestawić te światła, to ziarno dobre, które jest cywilizacyjnym dorobkiem naszych czasów.

Przygotowania do wystawy już się kończą. Wielki pałac wystawowy, nad wybudowaniem którego pracowano od 1897 roku, już jest prawie ukończony na zewnątrz; budowa jego pochłonęła 13 tysięcy metrów kubicznych cegły i kamienia. Głąb hali zajmują olbrzymie schody żelazne prowadzące na galerye i do sal zabaw. Schody te jak również cała klatka schodowa ma być prawdziwem arcydziełem kunsztu. Stopnie ich będą wykute z piaskowca, a filary z zielonego porfiru podtrzymywać będą ich ciężar. Fasada pałacu ozdobiona będzie dwoma fryzami, z których jeden przedstawiać będzie w alegoryi rozwój sztuki począwszy od Hindusów, Greków i Rzymian. Drugi fryz przedstawiać będzie rozwój sztuki romańskiej, wieków średnich.

Ogłoszona niedawno statystyka wykazała, iż zużyto już około 50 tysięcy ton stali i żelaza na wykonanie robót na wystawę przeznaczonych.

Komitety rozmaitych narodowości oddawna już są czynne, aby odpowiednio urządzić wystawy w oddzielnych pawilonach. Nasz polski przemysł, nasza sztuka i rękodzielnictwo reprezentowane będzie niestety w trzech działach — w rosyjskim, niemieckim i austryackim, w tym ostatnim będziemy mieli kącik własny i rodzaj osobnego pawilonu, który przedstawia właśnie w projekcie uboczny rysunek.

Dla nas, Polaków, nie ziściły się w bieżącem stuleciu nadzieje w niem pokładane. Ale ze wszystkich klęsk i zawodów odnieśliśmy jedną wielką korzyść — bośmy się nauczyli liczyć tylko na własne siły i własną pracą gromadzić cegiełkę po cegiełce na budowę wielkiego gmachu odrodzenia. Praca nasza wskutek odmiennych od innych narodów warunków bytu ciaśniejszy zakres obejmować mogła i dlatego też nasz rozwój nie może być tak świetnym, jak rozwój innych narodów w bieżącem stuleciu. Nie powinniśmy jednak zostać na uboczu i nie pozostaniemy. Praca komitetu polskiego uprawnia do nadziei, że potrafimy złożyć godne świadectwo naszych usiłowań, naszej działalności na wielu polach. Sztuka polska — czy to rzeźbiarska, czy malarska, czy literatura — staje bezwątpienia w rzędzie sztuki i literatury innych narodów. Jest to wiele. Dołóżmy zatem wszelkich sił, aby pokazać, czem jesteśmy i czem byśmy się stać mogli, mając swobodne warunki rozwoju. *L.*

Koniec okrutnika.

Następca słynnego Mahdiego, kalifa Muhamed Achmeta, kalif Abdullah, padł przed kilku tygodniami w bitwie z woj- [illegible] angielskiem pod wodzą pułkowni- [illegible] Wingate... Wiadomość ta wywołała w Londynie wielką radość. Pominąwszy bowiem niepowodzenia ustawiczne oręża



Kalif Abdullah.

angielskiego w Transwaalu, to wojna z derwiszami na północy Afryki dręczy już Anglię od 15-tu miesięcy.

Abdullah, którego lud niesłusznie nazywał drugim Mahdim, był w rzeczywistości karłem jeno wobec swego poprzednika.

Tamten był istotnie lwem i orłem, Abdullah znany z okrucieństwa i chciwości, był chyba szakalem i hyeną. Nie był podobnym do bohaterskiej postaci Wschodu. Średniego wzrostu, silnie zbudowany, z twarzą oszpeconą przez ospę, z zarostem rzadkim, ten okrutnik, który tysiące ludzi pozbawił życia, uśmiechał się do wszystkich, ukazując dwa rzędy białych zębów dzikiego zwierzęcia. Tak go przedstawia Slatin-basza, Ohrwalder i inni, którzy lata całe przepędzili u niego w niewoli.

Miód płynął z ust jego, zatrute strzały padały z oczu.

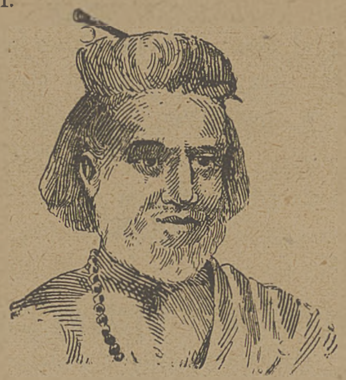
Trzech kalifów ustanowił był Mahdi następcami swoimi jeszcze za życia, ale, umierając w roku 1855, skutkiem zatłuszczenia serca, wskazał w ostatniej chwili na Abdullaha i zalecił wiernym, ażeby jego okrzyknęli kalifem.

Nad grobem Mahdiego Abdullah odebrał od wojska przysięgę wierności, poczem na cześć zmarłego wypowiedział mowę, przerywaną wybuchami płaczu. Była to może jedyna jego mowa, gdyż Abdullah nie był tęgim mówcą, ale za to pisał lepiej niż jego poprzednik. Zamiłowanym był w przeglądach wojsk, w bitwach jednakże nie narażał swej cennej osoby, dopiero po skończonej walce z lubością przyglądał się gromadnemu mordowaniu jeńców. Chciwym był i wszelkiemi środkami pomnażał swe skarby, a wydawał wiele tylko na harem, w którym przebywało około 400 kobiet.

Ze śmiercią Abdullahiego państwo jego, które niedawno jeszcze rozciągało się od Wali Hally, aż prawie do morza Czerwonego, od granic Abisynii i po za równik, rozpadło się po ośmnastu latach istnienia.

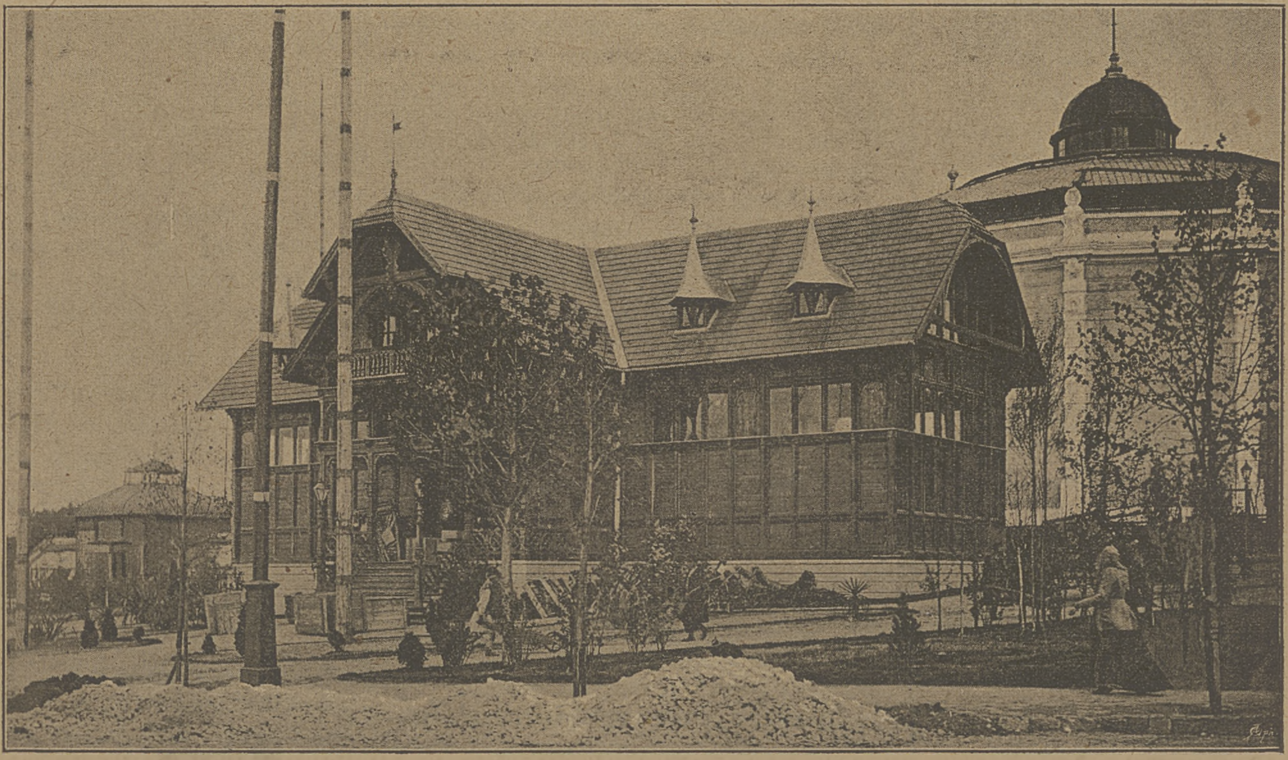
Zwycięztwo ostatnie Anglików nad walecznymi w boju i nieustraszonymi derwiszami zawdzięczają oni najprawdopodobniej zdradzie w obozie Abdullaha.

Anglia — jak wiadomo — walczy nietylko żelazem, ale także złotem, które i wśród na pół dzikich ludów Afryki ma urok nieprzeparty. Otóż w tym wypadku zwraca się podejrzenie na Osmana Digmę, jedynego baszę z otoczenia kalifa, który ratował się z Masakry ucieczką. Derwisze zostali przez przemagające siły angielskie w obozie zaskoczeni i w pień wycięci.



Osman Digma.

Śmierć Abdullaha i klęska derwiszów usuwa na jakiś czas ustawiczną grozę, którą rozsiewali nad środkowym Nilem ci rabusie fanatyczni. *Zeta.*



Illustracya do artykułu: „Z przygotowań do wystawy paryskiej.“

W karnawale.

(Pogadanka).

Znam starego — bardzo starego radcę, który dotąd jeszcze co wiosnę spodziewa się wojny powszechnej, mającej świat cały do góry nogami przewrócić, a kartę Europy z gruntu przekształcić... I tak wiosna idzie za wiosną, staruszek coraz bardziej ku ziemi się chyli, a karta Europy pozostaje od lat kilkudziesięciu bez najmniejszej zmiany.

Ale on ciągle jeszcze nie traci nadziei...

Znam też mnóstwo panienek, pomiędzy niemi na pierwszem miejscu dwie: Marynię i Elżbietkę, które na początku każdego karnawału oddają się rozkosznym marzeniom, że podczas tego już na pewno znajdzie się oczekiwany książę. Przyjdzie ku nim, spojrzy, uśmiechnie się jak anioł, porwie w objęcia i w tempie rozkosznego walca wprost je do ołtarza poprowadzi... I tak karnawał idzie za karnawałem, pierwsza z nich doszła szczęśliwie do trzydziestki, druga od kilku lat ją przeszła, warunki sakramentalnego uwodzenia z roku na rok się pogarszają, a nawet rośnie coraz bardziej zastęp celibataryuszów z zasady — a one ciągle jeszcze, jak stary radca, nie tracą nadziei...

Wytrwałość taka w czasach zwątpienia wszystkich o wszystkiem jest niewątpliwie heroizmem...

Próbowały już wszystkich możliwych sposobów — napróżno. Nawet środki, uważane oddawna i słusznie za najpotężniejsze, mianowicie wieczorki prywatne, na których jak świat światem małżeństwa się kleciły obficie i prędko, były dla nich dotąd pasmem tylko smutnych zawodów...

Od kilku więc lat marzą o zabawach publicznych, uważając, że tam coś znaleść się musi. Tembardziej, że ideały obydwóch — jak w piosnce Bartelsa — znacznie się obniżyły. Smukły, łzawy i melancholijny blondyn, będący ideałem pierwszej, z modremi, jak zatoka neapolitańska oczyma, mógł był trochę utyć, wyłysieć, zblaknąć i spłowieć. Nawet na maleńki defekcik fizyczny — taki sobie niewielki, z daleka nie zbyt widoczny, jak np. nieznaczne zezowanie, lub troszeczkę zająkania się, zwracanoby dziś już nie tak wielką uwagę, a nawet patrzano przez palce...

Niemniej i wspaniały a płomienny brunet, będący ideałem drugiej, także nieco się zmienił w wymaganiach stęsknionego serca. Posiwiał bardzo widocznie, z wspaniałego zrobił się ciężkim, z ognistego nieco astmatycznym. Ale to nic.. Wytrwałość w dążeniu do kobierca przed ołtarzem jest tak silną, że zwyciężyć gotowa wszelkie przeszkody, przełamać każdą zaporę, przebyć siedem gór i siedem rzek — byle tylko on się znalazł, byle on był, byle istniał!... Wielki nawet prąd modernistyczno-feministyczny, który ma podobno stać się przewrotem stosunku pomiędzy płciami, nie podziałał na zmianę aspiracyi naszych bohaterek. Bynajmniej!... Nie zdając so-

bie dokładnie sprawy z tego prądu wielkiego, przeczuwają one instynktowo, że wszelkie te ruchy emancypacyjne niczem więcej nie są, tylko — albo nowemi sposobami, aby dostać męża, albo rozpaczliwemi środkami zapomnienia dla tych, którym okoliczności (oczywiście zewnętrzne) nakazały zwątpić ostatecznie.

A Marynia i Elżbietka nie zwątpiły ostatecznie. Nie! nie! Jeśli która z nich lub obiedwie, rozprawiają o „Prawach kobiety“ o „Samodzielnej pracy“ o „Niezawisłem stanowisku“ od mężczyzny, to dlatego, że wiedzą bardzo dobrze o częstych wypadkach, iż panienki, siedzące przy kasie, sprzedające za kantorem, lub nawet telefonistki, wprost z tych lub innych emancypacyjnych stanowisk za mąż wychodziły... Jednakże — niech sobie mówią co chcą! stary sposób wyjścia za mąż wprost z tańca, niema dotąd równego sobie, jak potęga działania na silniejszą połowę rodzaju ludzkiego. Nic na tych brutali, na tych egoistów, nie robi większego wrażenia, jak wiotka, kształtna a jednak pełna figura — i to jak najwięcej dla ich cynicznego spojrzenia widoczna. Cóż więc robić?... Trzeba ich brutalność jak najbardziej zadowolnić — no, i schlebiać tym cynicznym spojrzeniom. Trudno! cel przedewszystkiem.

Ale karnawał i wszelkie z nim łączące się przyjemności mają to do siebie, że samo, choćby najgorętsze uczucie, sama chęć i postanowienie, choćby najbardziej stanowcze, nie wystarczają do uwieńczenia zamiarów skutkiem pożądanym. Ponieważ obiedwie panienki zdecydowały się, zostawiając sobie wieczorki prywatne jako rezerwę, być koniecznie na jakiejkolwiek zabawie publicznej, lepiej na kilku, przeto nasunęły się zaraz kwestye innego rodzaju, ale także wielkiej doniosłości. Najważniejszą zawsze w tym razie: jak się ubrać, kiedy niema za co? Druga kwestya: kto je na te bale wprowadzi? Nie marząc bowiem o balu bazarowym lub w hotelu Francuzkim, a nawet w Wiktoryi, zdecydowane są na bal — choćby bez względu na wyznanie... Trzydziestka ma swoje prawa! — Idzie się wtedy na przełaj — jak lis osaczony w kociołku; wie, że musi się przebić, albo zginie... Tak i one; czują, że teraz, albo nigdy. Jeszcze rok — dwa — trzy najwyżej a potem basta! klamka zapadła na zawsze, na wieki! Nie pomogą deklamacye na temat emancypacyi, frazesy o samodzielności kobiety, o wyzwoleniu się z pod brutalnej opieki i t. p. Cudne to rzeczy, dopóki się niema zmarszczek. Potem grają rolę jakby kija dlatego, który oślepł...

Chęć wyjścia za mąż jako cel, a strojenie się, jako środek do dojścia do tego celu — są piętą achillesową prawidłowego rozwoju idei usamowolnienia kobiety. Sam cel — dobrze, ale te środki właśnie jakiemi się do niego dojść zamierza, przedstawiają całą przepaść poświęceń... co w znacznej części kończy się bezcelowo!... Mąż, jakiego Marynia i Elżbietka — wędką szuka, znajdzie się rzadko.

Marysia i Elżbietka wystawiają sobie, że tylko wystrojone, choćby w nieświeżą sukienkę, w rękawiczkach choć dziurawych, ale — glansowanych — wszystko zaś niby — modnym krojem a właściwie karykaturalnym, można dobić do portu, wyemancypować się ostatecznie, t. j. znaleść męża. Karnawał dla nich i rosnąca w tym czasie ochota zabaw, a pożądliwość strojów, staje się poprostu nieprzerwanem źródłem łez, bólu serca i wszelkiego rodzaju zawodów... bo „mąż i żona“ jedynie od Boga przeznaczona!

Gawędziurz „Pracy“.

---

†

Nekrologia.

Początek roku bieżącego zaznaczył się w kronice żałobnej naszej biednej Wielkopolski niepowetowanemi stratami i to tak w szeregach duchowieństwa, gdyż straciliśmy w ciągu niespełna pierwszego pół miesiąca czterech księży proboszczy, jak i wśród obywatelstwa.

W pierwszych dniach stycznia umarł ś. p. ks. Antoni Klarowicz, proboszcz w Gorzycach pod Żninem. Zmarły urodził się 1832 r. w Krotoszynie, a na kapłana wyświęcony został 1857 r.



Ś. p. ks. prob. Antoni Klarowicz.

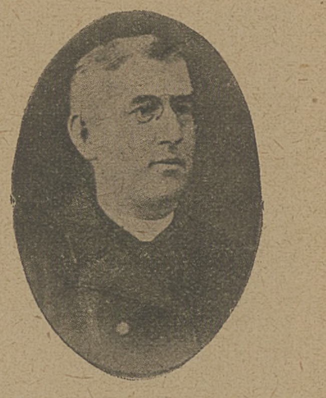
W Krotoszynie uczęszczał do gimnazyum, a lubo to miasto uważane było za zniemczone, dom rodzicielski w ś. p. ks. Antonim rozkrzewił ducha narodowego, w nim tę wierność swemu narodowi i religii zachował przez całe swe życie, mimo że ciężkie nieraz próby wytrzymywać musiał. Przed siedmiu laty dopiero objął probostwo w Gorzycach, dawniej był w Jaktorowie.

W sercach parafian zbudował sobie nieboszczyk pomnik wdzięczności. Był lubianym przez wszystkich, bo wszędzie i z pomocą i pociechą spieszył, to też lubo jakby w zakątku leżały Gorzyce i z blizka i z daleka stanęło 27 księży i niezliczone tłumy ludu, a ks. Echaust z Żernik wzruszającą mowę pogrzebową wygłosił.

* * *

W Rogoźnie zakończył dnia 10 b. m. życie ś. p. ks. Leonard Ostrowicz, szambelan Ojca św. i były długoletni poseł na sejm pruski. Zapisał się on w naszej pamięci jako obrońca praw naszych w owych czasach, kiedy to posłowie nasi walczyli przeciw ustawie kolonizacyjnej. Nieboszczyk był zdolnym kaznodzieją, czego dowodem jego zawsze piękne, do łez rozczulające mowy pogrzebowe.

Pogrzeb ś. p. ks. prałata Ostrowicza odbył się bardzo uroczyście w Rogoźnie. Nieboszczyka pochował ks. biskup dr. Likowski; zwłoki złożono w sklepie kościelnym, naumyślnie na ten cel wymurowanym.



Ś. p. ks. prałat Leonard Ostrowicz.

* * *

W Buku zasnął w Panu d. 11 b. m. ks. Aleksander Akoszewski, proboszcz tamtejszy. Zmarły od lat 30 rządził parafią Bukowską, poprzednio zaś pracował jako duszpasterz przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu. Zmarły przez długi ten przeciąg czasu z wielką gorliwością wypełniał swe obowiązki kapłańskie. Dbał o potrzeby duchowe parafian swej pieczy powierzonych i gdzie tego wymagała potrzeba, chętnie do wszystkiego ofiarną dłoń przykładał. To też swojemi dziejami zapisał się niezatartemi głoskami w pamięci parafian.

Przed wyniesieniem ciała z domu żałoby przemówił p. dr. Wróblewski, żegnając w imieniu obywatelstwa nieboszczyka. W kościele pożegnał w imieniu konfratrów i parafian zmarłego ks. proboszcz Gońśki z Lusowa. Nazajutrz po wigiliach i nabożeństwie żałobnem wygłosił dłuższą i piękną mowę pogrzebową ks. prałat dr. Warmiński z Poznania, przyjaciel zmarłego, a przed walką kulturną były wikaryusz bukowski. Kondukt pogrzebowy prowadził ks. dziekan Chybicki ze Stęszewa w otoczeniu 30 księży.



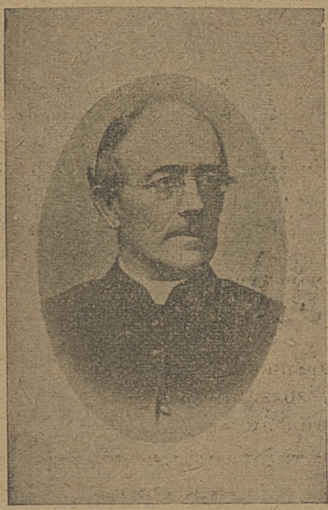
Ś. p. ks. prob. Aleksander Akoszewski.

Przeważną część stanowili dawniejsi wikaryusze ś. p. ks. Akoszewskiego. We wielu gospodarstwach zwolniono tego dnia ludzi od pracy — to też bractwa, różne korporacye i kilkotysiączne tłumy towarzyszyły zmarłemu na miejsce wiecznego spoczynku.

* * *

Dnia 11 b. m. zmarł ś. p. ks. Józef Zenkteler, proboszcz w Ostrorogu, brat zmarłego przed kilku tygodniami profesora pro-

gimnazyum trzemeszeńskiego, a przedtem profesora gimnazyum poznańskiego i ostrowskiego. Zmarły liczył lat 69 wieku a 42



Ś. p. ks. prob. Józef Zenkteler.

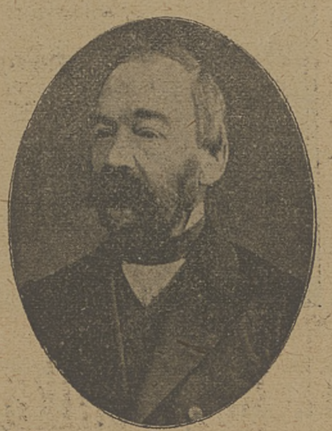
kapłaństwa. Jako kapłan gorliwy i zacny obywatel cieszył się poważaniem w szerokich kołach społeczeństwa naszego.

Nieboszczyk, zanim przeniósł się do Ostroroga, był proboszczem kolegiaty farnej w Poznaniu i dziekanem; gorący patryota był szczerze kochany przez lud jako kapłan i ojciec prawdziwy. — R. i. p.

* * *

S. p. Kajetan Buchowski, jeden z starej generacyi obywateli ziemskich, dokonał żywota dnia 12 b. m. w Pomarzankach w sędziwym wieku, bo w 88 roku życia.

Zmarły pracował początkowo przy starej landszafcie na stanowisku skromnego urzędnika. Następnie ożeniwszy się, przeniósł się na wieś i kilka dziesiątek lat pracował na Pomarzankach. Pilnował przytem nie tylko własnego gospodarstwa, ale także sprawy publicznej. Był długoletnim członkiem centralnego Towarzystwa Gospodarczego, Towarzystwa Naukowej Pomocy, zakładał Spółki pożyczkowe, Kółka rolnicze, popierał Towarzystwa Przemysłowe, zjeżdżał na narady, wiece publiczne, wyborcze, przemawiał, pisywał artykuły, słowem, należał jeszcze dziesięć lat temu do najczynniejszych obywateli.



Ś. p. Kajetan Buchowski.

Przytem był to umysł głębszy i krytyczny. Nie na wszystko się godził, czemu opinia publiczna przyklaskiwała i ostrzegał, przewidując niejedne niepowodzenia i klęski naprzód. On to — finansista myślący i nieraz o finansach naszych piszący — lat temu blizko 20, kiedy nasi więksi posiedziciele łączyli politykę z zabawami publicznemi, pociągającemi za sobą życie nad stan, głosił i pisał: „że to nie szlachta w Bazarze tańczy, tylko koniczyna — tańczy!“

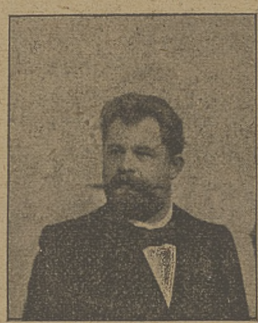
Dokonał sędziwego żywota w ciągłej pracy, w ciągłem myśleniu na swej własnej zagrodzie ojczystej, której nie puścił w obce ręce.

Ze łzami żegnał go najbliższy sąsiad i rówiennik, p. Leonard Brzeski z Jabkowa. W pogrzebie wzięła udział znaczna część obywatelstwa całej Wielkopolski i nawet z dalszych stron, a mianowicie: rodziny Ponińskich, Radońskich, Swinarskich, Urbanowskich, Brodnickich, Brzezińskich, Moszczeńskich, Dziembowskich, Chełmickich, Szułdrzyńskich z Lubowiczek i Bolechowa, Brezów, Połczyńskich, Prądzyńskich, Koszutskich, Karpińskich, a z Prus Zachodnich widzieliśmy panią Hulewiczową z Warszewic i p. Donimirskiego z Łysomic.

Cześć Jego pamięci! Wieczny spokój Jego duszy!

* * *

Smutna wieść rozeszła się 24 bieżącego miesiąca pod wieczór po Poznaniu. Dr. Sylwester Wendland, od niedawna dopiero w mieście naszem osiadły, lekarz zdolny i umiejętny, obywatel dzielny i gorący patryota, zmarł po krótkich cierpieniach jako ofiara swego powołania. Zakaziwszy się przy operacyi, uległ tej samej chorobie, którą z obowiązku zawodowego leczyć mu wypadało.



Ś. p. dr. Sylwester Wendland.

S. p. dr. Wendland był znany we wszystkich kołach poznańskich i w całej wielkopolskiej dzielnicy. Jako przewodniczący rady miejskiej w Swarzędzu, gdzie przez długie lata był lekarzem, starał się działać dla dobra gminy i wypełniać szczerby, które hakatyzm wyłamywał w międzyobywatelskich stosunkach. W życiu swarzędzkiego Towarzystwa Przemysłowego i w sprawach wyborczych zawsze okazywał się czynnym i kochającym sprawę publiczną obywatelem.

Ubył społeczeństwu człowiek dobrego serca, obywatel dobrych dla wspólnej sprawy intencyi, a szerokim kołom towarzyskim miły, pełen życia i pełen humoru towarzysz i przyjaciel. To też nie dziw, że nietylko całe obywatelstwo miasta Poznania i okolicy, ale nawet obywatelstwo z dalszych stron liczny wzięło udział w pogrzebie. Niezliczone tłumy zalegały dom żałoby i ulice przyległe, a żal serdeczny bez wyjątku u wszystkich był wymownym dowodem, że społeczeństwo nasze umie ocenić człowieka pracy, prawdziwie polskich zasad i poświęcenia.

Cześć zacnej pamięci lekarza-patryoty, który zginął w sile wieku jak żołnierz na posterunku — jako ofiara swego zawodu.

Osieroconej Rodzinie Nieboszczyka, osobliwie zaś owdowiałej małżonce, przesyłamy wyrazy pocieszenia.

Jeszcze wciąż można zapisywać „PRACĘ“ na miesiące luty i marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na luty i marzec

tylko 67 fenygów.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezwłocznie

tylko 67 fenygów,

a dostawać będzie pismo nasze przez cały kwartał w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest pod rubryką II t. Nr. 86.

Kwit abonamentowy zamieszczony jest na stronie 148-mej niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 67 fenigów posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Każda poczta jest zobowiązana dostarczyć numery zaległe z bieżącego kwartału.

Szanownych Czytelników w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na miesiące luty i marzec w ilości

67 centów

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na miesiące luty i marzec na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 48 centów,

zaś już z odnoszeniem do domu

tylko 52 centy.

Premium!

Kto jeszcze teraz zjedna nam nowego przedpłaciciela i nadeśle nam prócz swego kwitu abonamentowego także kwit zjednanego nowego abonenta, otrzyma jako premium piękny

Kalendarz Maryański

na rok 1900.

Wiadomości.

Do skompletowania kwartalników „Pracy“ potrzebne nam są numery: 51-szy i 52-gi z roku zeszłego, oraz nr. 2-gi z dnia 14 go stycznia roku bieżącego, o których nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Prośba. Szanownych Czytelników, zamawiających i odbierających „Pracę“ pod opaską, prosimy o dokładnie i wyraźnie pisane adresy z wymienieniem naj-

bliższej stacyi pocztowej, celem ułatwienia przesyłki.

Agenturę „Pracy“ na miasto Bydgoszcz i okolicę otworzyliśmy w Bydgoszczy w ekspedycyi „Gazety Bydgoskiej“, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom Bydgoszczy i okolicy. Tamże można zaabonować „Pracę“ od każdego czasu.

Objaśnienie. W przeszłym, t. j. nr. 4 „Pracy“ w artykule pod tyt. „Epizod z r. 1831“, a mianowicie na str. 109 w łamie pierwszym, szóstym wierszu od dołu jest ustęp następujący:

„Pomiędzy 6 ma Radomskimi figuruje nasz luby potomek żydka pruskiego, dawny oprawca powstańców z Białowiejskiej puszczy.“

Nieszczęście chciało, że w zecerni przez niedopatrzenie się — za słowem Radomskimi opuszczono wyraz „**żydkami**“, co niniejszem prostujemy. Każdy mógł się łatwo domyśleć, że jest tu oczywiście mowa o żydkach Radomskich, czyli o żydkach z miasta Radomia. Nie miał więc ani autor, ani też my na myśli w dziejach naszych chlubnie zapisanej familii Radomskich, zawsze wiernych synów Ojczyzny, z których nawet kilku a mianowicie za króla Stanisława Leszczyńskiego wybitne zajmowało dostojeństwa ongi sławnej Rzczpltej Polskiej. (Patrz Herbarz Polski Niesieckiego.)

Sprostowanie. Nawiązując do nekrologu o ś. p. Wawrowskim ze Sławna, uzupełniamy takowy, że niebożczyk był długoletnim administratorem tegoż majątku, którego właścicielem jest p. Stefan Duliński.

Z teatru. Premierą najbliższą będzie dramat w 5 aktach Adama Asnyka p. t. „Cola Rienzi“, który odegranym zostanie w sobotę, d. 27-go i w niedzielę d. 28-go b. m. wieczorem. — Znakomite to dzieło wielkiego pieśniarza wystawione będzie z należytą pieczołowitością tak pod względem artystycznym jak i dekoratywnym, spodziewać się też należy, że zdoła zainteresować ogół naszej publiczności z miasta i z prowincyi.

Obsadę sztuki w głównych rolach stanowią najlepsze siły naszej sceny: pp. dyrektor Ryger, Wysocka, Królikowska, Adwentowicz, Bednarczyk i t. d.

W niedzielę po południu o godzinie 3-ej danym będzie po cenach do połowy zniżonych bardzo sensacyjny i efektowny dramat p. t. „Trzydzieści lat z życia szulera“.

Polaków w Westfalii, pragnących czytać pisma polskie, prosi o wskazanie nam adresów pewien akademik Polak w Darmsztacie, pod któremi by mógł bezpłatnie wysyłać przeczytane numery pism i t. p.

Na Czytelnie ludowe złożyli na ręce nasze obywatele z Nakła przy rozmaitych okazyach 18,50 mk. Przed Szanownem Obywatelstwem z Nakła „Czołem“! Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

Skład obuwia i warsztat dla panów, pań i dzieci p. Karola Ptschyody, mistrza szewskiego w Gnieźnie, przy ul. Wilhelmowskiej nr. 14, polecamy względom Czytelników naszych Gniezna i okolicy, zwracając ich baczną uwagę na inserat odnośny, zamieszczany stale w „Pracy“.

Zegarki dobre, tanie i trwałe w rzetelnym towarze, oraz biżuteryą złotą i srebrną, niemniej i inne przedmioty srebrne nabyć można u p. M. Daneckiego w Miejskiej Górce, w filii tegoż, znajdującej się w składzie p. Romana Tilgnera w Pleszewie i w składzie pp. M. Szczepaniaka i Sp. w Krotoszynie. Bliższe szczegóły podane są w odnośnych inseratach, zamieszczanych stale w „Pracy“, na co zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

Fabrykę zaszczytnie znanych papierosów J. F. J. Komendzińskiego w Dreźnie, wyrabiają ą tylko towar pierwszorzędny, polecamy względom Czytelników naszych.

Ślub. Dnia 23 b. m. zawarł związek małżeński w kaplicy św. Józefa w Poznaniu p. dr. Tomasz Błażejczyk ze Swarzędza z panną Zofią Szulc z Poznania. Obrządku ślubnego dopełnił X. prałat dr. Jażdżewski, który po odprawieniu mszy św. w serdecznych a wymownych słowach przemówił do nowożeńców. — „Szczęść Boże“ młodej i dorodnej parze.

Około dwudziestu weteranów walki z r. 1863 zebrało się dnia 22-go b. m. na nabożeństwo w kościele Farnym, oprócz nich także dość liczny zastęp kobiet. Nabożeństwo odprawił ks. mansyonarz Gierłowski. Za dusze poległych przybył też pomodlić się — jak pisze „Goniec Wielkopolski“ — przedstawiciel władzy, który po nabożeństwie publiczność sobie oglądał.

Pod wodzą towarzysza Ignacego Andrzejewskiego weterani poszli na pogawędkę do pani Miśkiewiczowej w Rynku.

† **Znów** świeżą sypiemy mogiłę. Ks. Seweryn Stefański, wikaryusz kotłowski, zasnął w Panu dnia 17 b. m. w młodym wieku 30 lat, a w 5-tym roku kapłaństwa. Pogrzeb odbył się w Trzemiesznie. R. i. p.

Dwóch Polaków ukończyło w listopadzie r. z. szkołę politechniczną w Charlottenburgu z dyplomem inżynierów, a mianowicie: pp. Tadeusz Nowak z Królestwa i Leon hr. Szeptycki z Galicyi, najmłodszy brat gr. kat. biskupa stanisławowskiego.

Od Redakcyi.

T. Z. w D. Towarzystwo to zasługuje ze wszech miar na wielkie uznanie. Bliższej wiadomości, informacyi i t. d. udzieli chętnie p. mecenas Chrzanowski, ulica Wilhelmowska nr. 1.

Panu M. Gr. w Inowrocławiu. Na razie przyrzec nie możemy, gdyż mamy bardzo wiele zaległego materyału do zamieszczenia.

Zero w Gnieźnie oraz autorce noweli p. t. „W zaczarowanem kole“. Zamieścimy, da Bóg doczekać, na przyszłą gwiazdkę.

Panu M. D. w Bydgoszczy. Artykuły te nas nie doszły, ale są to powszechnie już znane rzeczy, a takich drukować nie możemy.

Panu Kra.... w M. Gozdowie pod Wrześnią. Nr. 52-im służyć nie możemy, gdyż zupełnie wyczerpany.

Panu A. Wiluszowi w Szamborze, Galicya. Adresem „Podlotka“ służyć nie możemy — jest to tajemnica redakcyjna, której się nikomu nie zdradza. Za wierszyk „Podlotkowi“ dziękujemy serdecznie.

Nadesłane.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od redakcyi, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje).



CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

I.

Kałakoł pocztowy.

Okolicy, w której opowiadanie moje się zaczyna, opisywać szczegółowo tym razem nie będę, jakkolwiek trudno mi się oprzeć pokusie — gdy siadam do jakiej powieści odszkicowania choćby pobieżnego tej pięknej wszędzie, a tak rozmaitej w swych pięknościach ziemi naszej. A znana mi dobrze ta okolica, w której rozpoczyna się działanie; w młodszym i starszym wieku podziwiałem nieraz tę jej sielską prostotę, łączącą w sobie wszystkie niemal cechy charakterystyczne naszych rodzinnych krajobrazów, w których do serca i oka polskiego przemawia to wszystko, co odznacza polską ziemię, polski lud i polskiego ducha!... urodzajność ziemi, patriarchalne obyczaje ludu i krewkość naszego niepowodzeniami niespożytego ducha!...

Lecz nie dziś czas malować krajobrazy! Między niemi a naszem okiem unosi się mgła, która z jednej strony zaćmiewa wzrok, a z drugiej strony zasłania ich rysy wybitniejsze. Mgła to z krwi i łez świeżo rozlanych!...

Gdzie spojrzyć... same prawie mogiły!... Z nich przemawiają dzieje świeżo przebrzmiałych zapasów!... Nad niemi gdy się wędrownik myślą rozmarzy, nie ma czasu rozpatrywać się po uroczych okolicy pięknościach!... Opisy ludzi i zdarzeń zajmować mnie będą przedewszystkiem!...

Skalistym i krętym wąwozem płynie Smotrycz. Sciany wąwozu rozszerzają i zniżają się coraz więcej, a zdala widać już zielone niwy i łąki podolskie. Z takiej to kotliny, odznaczonej grupą skał, w dziwne kształty pokrajanych, wybiega naprzód ku równinie mała mieścina, a tuż za nią potokiem jeno, co bieży do Smotrycza, oddzielona wieś podolska, na pół niknie w bujnych sadach zielonych. Przez grobelkę, po pod szumiący łotok młynka małego gdy przejedziesz, jesteś już we wsi i ujrzysz po lewej stronie cerkiewkę drewnianą, której krzyż błyszczy między liśćmi dwu lip odwiecznych, pochylonych nad baniastą kopułką. Po prawej stronie, podwójnym rzędem topoli otoczony, na małem wzgórzu wzniesiony, dwór widać staroświecki, z krytym gankiem i starą ulicą lipową, dzielącą ogródek kwiatów od ogrodu owoców. Z pomiędzy lip największa, najstarsza i najbujniejsza wznosi się na środku dziedzińca, okolona darniowem siedzeniem, zapraszającem do odpoczynku i marzeń. Siedzącemu pod nią, gdy zaszumi gęstemi konarami swemi i do marzeń jakby do snu ukołysze, rozpowiadać będzie dzieje tych pokoleń, co przeszły tamtędy, jak to zwykle bywa, z troską czy radością, i z tem całem życiem, mieszczącem się między wczoraj i jutro! Miasteczko zowie się Gradowce, a wieś Zaskale.

Na tem kończę opis miejscowości i zapraszam z sobą łaskawych czytelników do starego dworu, który choć się działanie rozpoczyna z końcem lata r. 1862, tak zewnątrz jak i wewnątrz miał na sobie piętno dworów polskich szlacheckich, jakiemi w pierwszych dziesiątkach wieku naszego, były wszystkie dwory nasze, póki się w nich nie rozpostarły obcych krajów wyobrażenia i obcego przemysłu wyroby. Na ścianach bielonych, miasto obić pstrokatych, wisiały stare makaty i adamaszki, wypłowiałe już nieco, ale żywo jeszcze przemawiające do oka i myśli tak barwami swemi, jak przedmiotami na nich przedstawionemi. Wisiały też po ścianach obrazy naszych świętych i naszych przodków, podwójnych patronów naszych, patronów religijnych i dziejowych.

Polski duch wiał ze wszystkich kątów dworu w Zaskalu. Przedstawicielem ducha tego był stary rotmistrz Gradowski na Gradowcu, dziedzic Zaskala. Z okien swoich patrzał na stare swe gniazdo rodzinne, na miasteczko Gradowce, które przed mnogiemi już laty przeszło w obce posiadanie. Sam rotmistrz sprzedał je.

— Lecz się tego nie wstydzę, mój panie i dobrodzieju — zwykł mawiać — bom je sprzedał, gdy się formowało Księstwo Warszawskie, na potrzeby kraju!... Nasze majątki szlacheckie, mój panie i dobrodzieju, powinny być fideikomisem, przez Ojczyznę nam powierzonym...

— Nie mniej przeto, mój panie i dobrodzieju — dodawał z poczciwym uśmiechem — zostawiłem sobie własność w Gradowcach, mam tam bowiem przy kościele OO. Kapucynów groby rodzinne Gradowskich.

— Dom zaś — mówił dalej, a rotmistrz lubił gawędkę — zostawiłem, mój panie i dobrodzieju, jakem go odziedziczył po ś. p. chorążym, ojcu moim. Nie jestem ja przeciwny postępowi i nowym wynalazkom!... przeciwnie, chętnie przyznaję,

że ludzie wiele nowego i dobrego wymyślili, z czego mamy święty obowiązek korzystać na przyszłość!... — Ale, mój panie i dobrodzieju, człowiek rozsądny, choć idzie naprzód, zawsze powinien wiedzieć, zkąd wyszedł!... Przyszłość, mój panie i dobrodzieju, jest na to, by się z wad swych naprawiać; a przeszłość, uważa pan i dobrodziej, na to jest, aby zachować stare cnoty!... Ergo mój panie i dobrodzieju, korzystaj z francuzkiego i angielskiego rozumu — już to i w teoryi wiele mgły, a w praktyce wiele chciwości, a człowiek mglistemi wyobrażeniami może głowę, a chciwością prawość a sumienie zatracić!... Więc jak wyrzekłem, korzystaj z ich rozumu. ale duszą i sercem zostań Polakiem, mój panie i dobrodzieju!... I dlatego też, uważaj asindziej, zachowałem mój dom w jego staroświeckiej prostocie!... Dom polski, dla nas co ojczyznę, by nie zaginęła, nosim nieustannie w piersiach naszych — powinien być dla polskiego obywatela świątynią narodowych pamiątek!... Tak jest!... mój panie i dobrodzieju!... kto inaczej myśli — powiem asańśtwu — jest już dziś zdrajcą własnego kraju, lub nim zostać może przy pierwszej jakiej okoliczności!...

Takim był pan rotmistrz Gradowski, o którym powiemy jeszcze, że rotmistrzował już pod starym Napoleonem w Hiszpanii, w Niemczech i Moskwie. Po latach pięćdziesięciu, sąsiedzi, którzy go na prawdę szanowali, chcieli go na gwałt na pułkownika przynajmniej wykierować, wychodząc zapewne z tego stanowiska, że byłby przecie zaawansował niezawodnie, gdyby byli Anglicy Napoleona nie wywieźli do śtej Heleny. Ale się temu stary Gradowski oparł, mówiąc głośno i nie bez oburzenia:

— A cóż to u krocset djabłów, czy ja Moskal czy co?... abym się rangi wyższej dobijał!... Byłem rotmistrzem, i chcę nim pozostać, choćby dlatego, aby się choć na próbkę jeden rotmistrz został. Bo co znałem Napoleonczyków, mój panie i dobrodzieju, gdy wrócili do ojcowskiej grzędy, świeć tam Boże nad nimi — bo nie wiele już ich podobno zostało — to same panie pułkowniki, podpułkowniki, a przynajmniej majory!... Byłem ochotnikiem i szeregowcem pod Jena i Friedland, podporucznikiem pod Saragosą, porucznikiem pod Berezyną; pod Bautzen dostałem tę wstążeczkę czerwoną, a z pod Lipska wyszedłem rotmistrzem. Dalej nie zaszedłem. Pod Mentereau mógłbym się był może dochrapać majorostwa, ale Napoleon nie miał już czasu myśleć o mnie, bo zanadto miał do myślenia o sobie.

— Ale wszakże waćpan dobrodziej szanowny rotmistrzu, ponieważ nim chcesz być koniecznie, i łaskawy kuzynku! — zagadł pan marquis Ketteler, deputowany powiatowy kamieniecki, dzisiejszy właściciel Gradowiec i wielu innych włości — służyłeś jeszcze raz...

Tu pan marquis kamieniecki oglądał się ostrożnie, ażali nikt nie słucha, i dodawał ciszej, choć nikogo nie ujrzał...

— W czasie zawieruchy r. 1831...

— Głupiś kochany marquis!... — odpowiadał rotmistrz!... — Daruj słowo, mniej przyzwoite, ale to zwyczajne między kuzynami!... Najprzód, mój panie i dobrodzieju, to nie była zawierucha, jak się asindziejowi ówczesną wojnę nazywać podoba. To była rewolucya mój panie dobrodzieju!... powstanie narodu polskiego, sponiewierane przez takich marszałków właśnie jak asindziej, dwustołkowych. A potem choć rzeczywiście pojechałem do Warszawy, to więcej dlatego, aby zawieść mego Jasia jedynaka i patrzyć jak będzie syn trzepać Moskali. I niech mnie djabli porwą, trzepał doskonale. Ja żadnej rangi nie miałem wtenczas; jako ochotnik służyłem pod rozkazami mego syna, który był porucznikiem... I... — tu stary rotmistrz głos zmieniał a oczy spuszczał ku ziemi — ztamtąd przywiozłem tylko na pamiątkę epolety Jasia z prawej ręki, oderwanej przy szturmie Warszawy wraz z ręką!... Sam wróciłem!... Jasio został w mogile pod Wolą!... Niech mu tam będzie lekką ziemia nasza, krwią naszą przeciężona!... zginął jako żołnierz waleczny!... uczynił zadość obowiązkowi swemu!... A zatem uważasz asindziej, panie marquis, proszę mnie nie pułkownikować!... Ja nie dla rangi, ale za ojczyznę się biłem!... I dziś jeszcze!... No! no! nie kręć się mój marquis! nie będziem gadać dalej o nadziejach zawieruchowych, bo nie przymawiając, choć kuzyn mój, boć przecież wuj mojej Kostusi, jesteś straszny tchórz, a co gorzej samolub olbrzymi!...

Zdaje mi się, że już teraz czytelnicy moi poznali dobrze mego kochanego rotmistrza Kazimierza Gradowskiego, poznali jak ja go znałem... A gdy go jeszcze bliżej poznacie, to go zapewne czcić będziecie jak ja go czciłem; bo był to ideał — niech mi wolno będzie tego słowa użyć — prawego obywatela polskiego, którego wolno zaiste było nazwać szlachcicem polskim, bo miał w duszy prawdziwą polską szlachetność. Gdyby takimi byli wszyscy?... Ale nie moja rzecz czynić tu uwagi, których wyprowadzenie czytelnikom zostawiam, ani chcę uprzedzać zdarzenia.

Do uzupełnienia obrazu dodam tylko, że rotmistrz niewielkiego był wzrostu, ale żylasty, silny i czupurny, z wielką jeszcze czupryną jak mleko białą, rysami twarzy wydatnemi, okiem jasnem i otwartem. Nad pełnemi jeszcze ustami, przy których poczciwy i serdeczny uśmiech zdawał się być częstym gościem, wznosiły się wąsy równie siwe jak włosy, krótko strzyżone. Faworytów ni brody nie nosił, i w całej postawie i wszystkich ruchach miał coś wojskowego. I ubranie też jego przypominało wojskowe nawyczki; halsztuk sztywny pod szyją, był zawsze po wszelkiej formie z tyłu zapięty; kamizelka jasna pikowa dochodziła aż do szyi; a po wierzchu nosił czamarkę starym krojem, zwanym po dziś dzień kościuszkowskim.

II.

Po jednej stronie dworu w Zaskalu był wielki pokój, który był prawdziwem sercem całego domu. W nim bowiem odbywało się całe życie zaskalskiego dworu. Najważniejsze sprawy domowe i zadomowe, jak krew przez serce w organiźnie człowieczym, musiały przechodzić przez ten pokój, salką zwany, który był niby kancelaryą starego rotmistrza, i w którym on dzień prawie cały przebywał. Był on jego pokojem audyencyonalnym, a po części i bawialnią całego dworu, bo w nim też rotmistrz przyjmował gości swoich. Dwie do salki przytykały alkowy, z których jedna była sypialnią pana domu, a w drugiej zbiór gratów i osobny wychód, prowadzący w ogród. W salce była biblioteczka rotmistrza, jego zbrojownia i zbiór jego najulubieńszych obrazów. Na jednej ścianie były stare portrety przodków domu i sławniejszych polskich mężów historycznych czy w koronie, czy z bułatem w dłoni. Na ścianie przeciwnej były wizerunki ludzi i zdarzeń, sławniejszych po rozbiorze kraju.

Do tej salki wejdźmy. Żywa się w niej toczy rozmowa. Rotmistrz swoim zwyczajem szerokim przechodzi się krokiem od jednej ściany historycznej do drugiej, z antypką i wiecznie gorejącą stambułką w jednej, a kapciuszkiem, pełnym wonnego tureckiego tytoniu, w drugiej ręce. Przy stole okrągłym, stojącym na środku, pokrytym suknem zielonym, na którym leżą gazety, książki i papiery porządnie poukładane, w jednym z fotelów okalających stół, siedzi rozparty mężczyzna, którego cała powierzchowność w dziwnem a zupełnem jest przeciwieństwie z gospodarzem domu.

Siedzący jest to mężczyzna długi i chudy, z twarzą młodą jeszcze, której wszakże wyraz starszy daleko kłóci się najmocniej ze zwykłym młodości wyrazem. Miasto młodej otwartości bowiem widna na twarzy przezorność i przebiegłość nieustająca, ciągle rozbudzona, ciekawa i śledząca. — Oczy, wielkiemi brwiami obsłonione, nie patrzą wprost nigdy; zdają się ciągle biegać niespokojnie i badająco. A jeszcze z niemi zdają się iść co do wyrazu nieustannej ciekawości, uszy długie, ogromne, szeroko rozwarte. Oczy zdają się mieć ochotę wszystko zobaczyć, a uszy wszystko usłyszeć. Nad czołem ciasnem, ale wyniosłem dosyć, wznoszą się włosy barwy ciemnej, ale niepewnej, gęste, rozczochrane wichrowato, po których przy rozmowie, czy przy rozmyślaniu, biega ciągle ręka żywym i przyspieszonym ruchem. Rysy twarzy są zresztą regularne i gdyby nie ten wyraz, o którym tylko co wspomniałem, twarz tę można było nazwać przystojną, a nawet sprytną. Twarz cała ogolona, nad ustami pełnemi, ciągle prawie uśmiechniętemi, nie ma wąsów; krzaczyste tylko bakenbarty ciągną się od uszów do brody.

Jak twarzą, tak suknią różni się siedzący niepomału od rotmistrza. Surdut mundurowy zielony z pąsowym kołnierzem, znamionuje urzędnika. Siedząc w fotelu, jedno oko przymrużył, a drugiem biega uważnie za chodzącym rotmistrzem; na ustach zaś odbija się półuśmiech, dobroduszny prawie. Takim przynajmniej mieć go chce widocznie.

— Panie Kazimierzu! — mówi do rotmistrza i głosowi swemu fistularnemu nieco, dodaje wyrazu poczciwej rubaszności. — Panie Kazimierzu, znamy się przecież od dawna i wiesz, że jestem przyjacielem twoim, tak jak był niegdyś mój ojciec.

— Twój ojciec, Pawle Onufryjewiczu, był rzeczywiście godny człowiek, i nam przychylny, choć Moskal...

— Śmiać się muszę, panie Kazimierzu, gdy wy Polacy myślicie, żeście coś powiedzieli, nazwawszy nas Moskalami. A przecież Moskal to wasz brat w słowiańskiej rodzinie.

— Dajno panie Pawle pokój z tem waszem pochodzeniem słowiańskiem...

— Ja się z wami kłócić nie chcę, bo ja wasz druh i przyjaciel najszczerszy. A zresztą, i ja i mój ojciec my nie Moskale; my przecie z rodu niemieckiego, a niemiecki naród to na cały świat najucywilizowańszy i najliberalniejszy.

Rotmistrz zatrzymał się, buchnął ogromnym kłębem dymu i zadrgały mu usta, jakby żądne słów gwałtownych, ale się powstrzymał. Stary rotmistrz nie z jednego pieca chleb jadł, i w razie potrzeby umiał politykować.

— A prawda! — odrzekł rotmistrz po chwili — Fliders! tak Fliders... wy z Kurlandyi podobno.

— Von Fliders!... Nie, my nie z Kurlandyi. Dziad mój miał w Pomeranii piękne Rittergut.

— I porzucił ojczyznę...

— Bo musiał!... bo człowiek co ma rozum, musi szukać szczęścia w świecie.

— Mniejsza o to!... Wezwałeś, panie Pawle, pamięć ojca twego. My go tu wszyscy kochali; jako strapczy odznaczał się szczególną uczciwością!

— To też umarł goły!... On był strapczym, ja jestem kapitanem sprawnikiem i to samo serce mam dla was!

— Dla nas wszystkich?...

— Niech mi tak Bóg dopomoże! Ja was Polaków kocham bardzo; Bo wy macie otwarte serca i...

— No, nie wstydź się dodać... i ręce!...

— Czego się mam wstydzić!... Car dobry, ale mało płaci! a ja mam matkę i pięć sióstr jeszcze niezamężnych...

— Dajmy temu pokój!... Ja wam tego nie mam za złe i Bóg widzi, że z serca daję, co dać mogę.

— Wy jesteście bardzo poczciwy człowiek. Na Boga, przekrasny człowiek!

— Od godziny, kochany panie Pawle, kręcimy się w ogólnikach; powiedz już raz o co rzecz idzie, bo widzę, że coś masz na języku.

— No, ja wam mówił, że was kocham, bo to prawda, i ja dlatego przyjechał bo was, że was kocham. Panie Kazimierzu!... wy spiskujecie?

— Ot, pleciesz! — odrzekł rotmistrz bez zająknienia, ale przez krótką chwilę ostro i z uwagą spojrzał na kapitana sprawnika.

— Wam się zdaje, że ja nic nie wiem! Ja tu nie przyjechał jako kapitan sprawnik; ja tu przyjechał jako wasz szczery przyjaciel. Czy spiskujecie?

— Słuchajno panie Pawle, ja cię lubię, bo kochałem twego ojca, i mam cię za niezłego człowieka, choć jesteś moskiewskim urzędnikiem!

— Ja dobry człowiek! ja mam serce najlepsze! — przerwał Paweł Onufryjewicz.

Ale — mówił rotmistrz dalej, nie zważając na przerwy — ale ja nie chcę, byś sobie żartował ze mnie... Gdzie mnie staremu spiskować!

— I marquis spiskuje!

— Marquis, który się boi cienia swego! O, to trafiłeś jak kulą w płot!

— I jego syn, choć był kamerjunkrem w Petersburgu, spiskuje także!

— Nie dajże się wyśmiać! I ojciec i syn z nazwiska są tylko Polakami, przecież to Niemcy urodzone

— Ale są ambitni! Im się roją przyszłe krzesła senatorskie. Oni się boją, ja to wiem, to właśnie są najpodlejsze dusze... wierzcie mi, panie Kazimierzu.

— Rotmistrz przystanął i z większą uwagą jął się przysłuchiwać.

— Oni wiedzą, że się organizuje spisek polski, więc się chcą wmieszać do niego, aby ten spisek, jeżeli się uda, obrócić na korzyść swoją i sobie podobnych. A jak się nie uda, będą nasze stopy lizać, a was przedadzą! No i cóż, panie Kazimierzu — dodał z miną tryumfującą — czy ja nie dobrze znam wszystko?

— Co wy tam wiecie! Pawle Onufryjewiczu, ja się w to nie wdaję — ale powiedzcie przecie od razu, zkąd się wam przyśnił ten spisek... To ten szelma prystaw, Iwan Iwanowicz, jak się upił, musiał wam po pijanemu głupstw nagadać.

— Iwan Iwanowicz jest szelma! to wielka prawda! to sukin syn! On i was szpieguje i mnie niedowierza. I dlatego właśnie ja przyjechał do was, panie Kazimierzu, jako przyjaciel, aby was przestrzedz i poradzić się z wami.

— Przecież ja wam ufam! — ozwał się rotmistrz i stanąwszy na środku salki, wpatrzył się z większą uwagą w siedzącego kapitana sprawnika. — Więc gdyby co było sam bym wam powiedział i o radę pytał... Ale niech mnie djabli wezmą, jeżeli wiem, o czem chcecie mówić.

— Nie gniewajcie się, panie Kazimierzu! — rzekł Paweł Onufryjewicz i starał się przybrać minę poważną i tajemniczą. Powstał z krzesła i zbliżywszy się do rotmistrza, położył z pewną serdecznością rękę na jego ramieniu. — Słuchajcie, ja wiem, że wam przysłali z Warszawy pismo tajemne.

— Pismo tajemne? — zaśmiał się głośno rotmistrz.

— Rozkaz organizacyi do spodziewanego powstania i patent na naczelnika organizacyi w Gubernii Podolskiej.

— Drwisz, czy drogi pytasz! — mówił dalej rotmistrz, śmiejąc się głośno i szczerze.

Kapitan sprawnik wpatrzył się w niego i przez jednę krótką chwilę wystrzelił mu z oczów wyraz złośliwy, srogi prawie, dowodzący, że lis może stać się tygrysem.

— Wy tęgi, prawowierny człowiek, panie Kazimierzu, kocham was za to! ani okiem nie zmrużyliście, ani zadrżeliście, choć już widzicie, że ja wiem coś.

— Coś? to więcej jak ja!

— Coś? mówicie, ja wiem wszystko. Chcecie bym wam powiedział, przez kogo dostaliście owe pismo z Warszawy?

Rotmistrz kiwnął ręką, splunął i chodził dalej krokiem, jednakowo wymierzonym; kłęby dymów jeno puszczał coraz większe.

— Wy mnie niedowierzacie!... panie Kazimierzu — zaczął znowu kapitan sprawnik, a głos jego przez odbijający się w nim ton fistułowy, dziwnie nieharmonijny, stawał się jeszcze fałszywszym przez przycisk tkliwości prawie płaczliwej, jaki mu nadawał. — Ja się temu nie dziwię wcale, bo was Polaków zdradził już niejeden moskiewski urzędnik. Ale ja panie rotmistrzu inny człowiek... ja mam serce... Jej Boh!... ja mam serce, i pamięć!... Ja dobrze pamiętam, kiedy po śmierci ojca była nędza w domu i długi!...

Rotmistrz machnął rękami, jakby chciał powstrzymać te przypomnienia.

— Daj pokój Pawle Onufryjewiczu! — mówił rotmistrz, a w głosie jego, zawsze dźwięcznym i poczciwym, odbiło się jeszcze więcej serdeczności.

— Ja pamiętam!... bo ja mam serce!... A kiedy przed laty kilkoma u mnie w domu panował tyfus, i leżały śmiertelnie chore moja matka biedna i trzy siostry moje!... kto ratował?... kto pomagał?...

— Dajże pokój Pawle, do trzysta diabłów! panie i dobrodzieju!... przecie to święty obowiązek, i ojciec twój był mi szczerym przyjacielem..

— Wyście ratowali, wyście pomagali!... panie Kazimierzu! — mówił kapitan sprawnik, głosem coraz płaczliwszym, i szedł krok w krok za rotmistrzem. — Wy panie Kazimierzu, z waszą Kostunią!... Poczciwa i śliczna dziewczyna!... niech jej to Bóg nagrodzi...

— Ja pamiętam... wszystko — mówił dalej sprawnik głosem przerywanym... bo ja mam serce!... tak, ja... mam... serce!...

Tu zamilkł na chwilę!... i dobywszy z kieszeni mundurowej wielką chustkę kraciastą, przyłożył ją do oczów...

Rotmistrz zbliżył się do niego i porwał go za rękę!...

— Wstydź się asindziej... panie i dobrodzieju!... nie bądźże babą!...

— Ja... mam serce!...

— Wiem, że jesteś dobrym w gruncie człowiekiem!... i wierzę, że masz serce!...

— Wierzysz temu panie Kazimierzu! — przemówił sprawnik głosem już naturalniejszym. — To mnie cieszy!... — dodał i odjąwszy chustkę od oczów, spojrzał za przechadzającym się dalej rotmistrzem, a z oka burego wystrzelił wyraz półtryumfu...

— Wierzcież i temu, że ja chcę was ratować... i dlatego przyjechałem.

— Kiedyż ja ratunku nie potrzebuję!... Niech mnie diabli porwą, tobie się coś w głowie przewróciło...

— I mimo woli waszej... wyratuję!...

Rotmistrz stanął naprzeciw niego na środku pokoju, spojrzał na niego, a w tym wzroku odbiło się jakieś przez chwilę uczucie niepewne. Spojrzał na ściany historyczne, i nagle obróciwszy się, przechadzał się dalej, nakładając ulubioną luleczkę, i krzesząc ogień ruchem nieco niecierpliwym...

III.

Sprawnik siadł nazad w krzesło poręczowe i mówił dalej, nie spuszczając z rotmistrza oka badawczego.

— Otóż wam teraz powiem, przez kogo dostaliście tajemne papiery z Warszawy. Nie ciekawiście wiedzieć! — dodał i zamilkł, jakby czekał na jakie ozwanie się rotmistrza.

Ale ten chodził dalej, i ani z ruchów, ani z spojrzenia niktby nie poznał, ażali słowa sprawnika silniejsze na nim wywarły wrażenie.

— Przez tego waszego Stasia!... któregoście podnieśli do siebie... Wiecie o kim mówię!... przez Stanisława Wydrę!... którego wy z panów pan!... którego dziadowie i pradziadowie zasiadali w senacie, przypuściliście do siebie jako wam równego!...

— To walny chłopiec!...

— Z chłopów pochodzi!... jego ojciec był waszym sługą!...

— I razem towarzyszem broni. Wziąłem go z sobą dzieckiem prawie!... i bił się tęgo!... i był długi czas wachmistrzem podemną!... Gdy się już w późniejszym wieku ożenił, i kupił dworek w Gradowcach, a potem umarł, przyrzekłem staremu koledze, że się będę opiekował jego synem!... I dobrzem zrobił, bo Staś jest dziś taki ukształcony, że daj Boże, by mu się równali nasi panicze...

— Ale zawsze mieszczuch!... rzemieślnik...

— A prawda! założył garbarnię na wzór zagranicznych, bo nie darmo lat kilka przepędził za granicą, i dziś miasteczko się podnosi przez jego fabrykę!...

— Mieszczuch!... i jemu się także zdaje, że on Polak!...

— A dajże pokój!... panie dobrodzieju!... na tym punkcie jesteś jak tabaka w rogu!... Wszystkie dzieci tej ziemi są Polakami. I nie drwijcie wy sobie z mieszczaninów!... Wielka ich przyszłość w ojczyźnie naszej!...

— Ja się wam tylko dziwię! że wy szlachcic! karmazyn czysty, i was już zdurzyli te demokraty. Szlachcic zawsze będzie szlachcicem, a mieszczuch mieszczuchem!... Oni was tumanią te mieszczuchy! Oni was nienawidzą, zbliżają się do was, aby od was dostać pieniędzy i waszego użyć wpływu do spodziewanej rewolucyi; a jakby się udała rewolucya, to wam będą gardła podrzynać, jak to robili Francuzi za tego Robespierra, boście mi kiedyś o nim czytać dawali — i zabiorą wam wasze majątki...

— Gadacie o rzeczy, której nie rozumiecie!... a zresztą co mnie tam do tego!... Już godzinę gadacie, jak Piekarski na mękach. Ot lepiej chodźcie na śniadanie!...

— Więc wy tak tego mieszczucha kochacie, że jakby chciał tobyście mu dali Kostunię waszą?...

— Co moja wnuczka ma do tej całej rozmowy!...

— I bardzo ma, bo ten garbarz musi się zalecać do waszej Kostusi, do senatorskiej dziewczyny...

— Ejże! — przerwał mu rotmistrz drwiącym tonem — Paweł Onufryjewicz wszystko wie! Kostunia moja jest dziewczyna co ma serce i głowę!... daj Boże, by takiemi jak ona były wszystkie dziewczęta. Ona jest panią swojej woli, i kogo ona wybierze za męża, to pewnie tego będzie wart!...

— I przystałaby na to, by została garbarzową, wnuczka chorążego, a prawnuczka wojewody?

— Chodźmy na śniadanie do Kostuni. Ciocia już się dawno musi niecierpliwić.

— Zaraz panie rotmistrzu, jeszcze chwileczkę. Kiedym zaczął, to już wszystko wypowiem. Otóż ten mieszczuch jeździł do Warszawy...

— W interesie garbarni!...

— I był za granicą?...

— W interesie garbarni!...

— Już mu tam kiedyś dobrze wygarbują jego własną skórę. On jeździł porozumieć sie z komitetami polskiemi, które spiskują w Warszawie i w Paryżu.

— To są jakie komitety? nie wiedziałem!

— I z tych komitetów przywiózł wam papiery! rozkaz organizacyi i nominacye. I już się zaczęła organizacya! wiem o tem!

— Panie sprawniku, czy długo jeszcze trwać będzie ten żart wasz?

— Ja wiem wszystko!... teraz już rozumiecie, panie rotmistrzu! choć się nie przyznajecie do tego. Ten garbarz i inne mieszczuchy wywiną się, wyklamią, a choć pójdą w sołdaty, to mniejsza o nich! Wywinie się i marquis z synem, i prezes i sędzia, i deputat, którzy także się tam wmięszali czort wie czego!... wywiną się i te młode hoczajdusze, potomki bałagułów z czasów Konarskiego, a im się zdaje, że ponieważ dobrze siedzą na koniach i dobrze strzelają, to już będą żołnierzami dobrymi w powstaniu — ale to co innego, gdy przyjdzie bić się z naszem walecznym wojskiem!

— Nie ma co mówić! — przemówił rotmistrz drwiącym tonem.

— Drwijcie, nie drwijcie! nasze wojsko jest tęgie! bo będzie stać i dawać się zabijać!

— Póki go to nie znudzi!

— Dosyć, że na was panie Kazimierzu się skrupi, a mnie was żal, bo wy już stary, nie wytrzymalibyście Sybiru — a cóż dopiero...

— I knutów!... to prawda!...

— Cóż temu my, cóż temu winien car! batiuszka nasz! że wy go wyzywacie, ciągniecie za tę rękę, w której...

— Trzyma knut!

— Ja tych waszych słów nie powtórzę nikomu, bo ja was kocham!... ja mam serce!... Długo już was nudzić nie będę.

— Chwała Bogu! bo ta cała rozmowa...

— Była konieczna! Ja was panie Kazimierzu muszę wyratować, czy chcecie czy nie!... po tom tu przyjechał!

— I jakimże to sposobem? ciekawym bardzo! — Mówiąc to, rotmistrz stanął na miejscu, przestał nawet kurzyć lulkę, i z większą niż dotąd przysłuchiwał się uwagą.

— Ja wiem, co wy myślicie, panie rotmistrzu. Sprawnik ma jakiś donos!... sam przyjechał, aby mnie przestrzedz i przedać milczenie swoje i patrzanie przez szpary. I myślicie sobie: niezły człowiek, trzeba mu dać kubana, on i tak potrzebny, zdałoby mu się z 1000 albo 2000 rubli srebrnych karbowanych. Zdałoby mu się na posag dla jego siostry Olgi, któraby poszła za tego piszczyka guberskiego, co to przyjeżdżał do mego wujaszka, co jest popem w Gradowcach.

— Nie wiedziałem o tem!... czemuż mi o tem nie wspomnieliście?

— I dałbyś pewnie, Kazimierzu, dałbyś i więcej!... gdyby trzeba i 3000 rubli karbowanych!

— Cóż wielkiego, gdybym wam pomógł. Ojciec twój, panie Pawle, po r. 1831, gdym wracał z wojaczki, nie mało mi pomógł.

— Mniejsza o to, czy to przez pamięć na ojca, czy z innego ważniejszego powodu. Ale co by to pomogło. Ja tym razem możebym kark skręcił wszelkim donosom, ale to długo trwać nie może. I ja mogę wpaść w podejrzenie! Mnie oddadzą pod sąd, przeniosą gdzieindziej, a na moje miejsce przyjdzie jaki Moskal nastojaszczy, taki Iwan Iwanowicz, i w końcu zgubi was, bo wykryje wasze sprawy spiskowe. Ale ja wasz przyjaciel, ja mam inny, lepszy sposób ratowania was i dla tego do was przyjechałem.

— Już teraz nie rozumiem was zupełnie, Pawle Onufryjewiczu.

— Słuchajcież!... choć się nie chcecie przyznać przed przyjacielem, wierzajcie, że wiem wszystko. Na to jest jeden ratunek... Idzie o to, aby przekonać, że wy, panie Kazimierzu, jesteście zupełnie nasz.

— Jakto? — zawołał rotmistrz głosem silniejszym i odjął cybuch od ust — ja wasz?

— A nasz!... jak rząd będzie miał to przekonanie, nie będzie wierzył wszystkim donosom... i będziecie wyratowani!

— Ja wasz? — powtórzył rotmistrz, a w głosie jego ozwała się gwałtowność i długo tłumiona niecierpliwość.

— A już wpadacie w zapał!

— Ja w zapał? broń Boże!

Stary rotmistrz dzielną i energiczną miał naturę. Powstrzymał się zatem siłą woli swojej i ręką pociągnął po wąsie, i gwiznął sobie na nutę marszu, co było u niego w zwyczaju przy każdem silniejszem wrażeniu...

— Mówcie dalej, panie sprawniku! mnie się tylko śmiesznem wydało to wyrażenie się wasze, że ja mam być wasz!

— Śmieszne czy nie śmieszne! to jedyny ratunek... i ja mam na to sposób!

— Ciekawym... słowo, żem ciekawy! — przemówił rotmistrz i przechadzał się dalej, nie spuszczając wszakże z urzędnika moskiewskiego spojrzenia coraz uważniejszego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Okna wspaniale urządzonej sypialni szeroko były otworzone, a zachodzące słońce ostatnie rzucało blaski na łóżko, na którem spoczywała młoda, piękna dziewczyna.

— Janiu, — szepnęła chora cichym głosem, spoglądając smutnemi oczami w złote promienie, — proszę cię, zbliż się do mnie, chciałabym ci coś jeszcze powiedzieć.

— Nie wolno ci mówić, kochanie, lekarz zakazał surowo.

— Ach, muszę przecież umrzeć, nie chodzi mi więc o to, czy będę żyła godzinę dłużej, czy nie, Janiu! Czy to rzeczywiście prawda? Ja nie wierzę! Nie boję się wcale, a zawsze myślałam, że ciężko jest umierać!

— Nie masz się też czego obawiać! Zaśniesz spokojnie i....

— Ale jakim snem! Tu, w tym pokoju zamknę oczy i otworzę je dopiero w innym świecie. Gdy przeszłej nocy słyszałam szum wiatru, powzięłam nagle dziwną myśl jakąś. Czy wierzysz, Janiu, że umierający mogą mieć widzenia?

— Owszem, słyszałam o tem. I cóż widziałaś?

— Nie śmiem ci powiedzieć, a jednak..... myśl ta prześladuje mnie tak, że umarłabym spokojnie, gdyby się życzenie moje spełnić mogło.

— Więc powiedz, — prosiła Janina, ale chora ociągała się z wyjawieniem owego życzenia.

— Ach, wstydzę się doprawdy, — mówiła, — będziecie mnie uważać za dziecinną i nierozsądną! Pomimo to wiem, że nie umrę spokojnie, jeżeli to, czego tak gorąco pragnę, nie ziści się!

— Czy ci kiedykolwiek odmówiono czego, Helenko? Nie obawiaj się — bo i tym razem stanie się tak, jak chcesz!

Uśmiech szczęścia rozpromienił twarzyczkę chorej dziewczyny.

— Masz słuszność, rzekła po chwili milczenia. — Poznałam życie tylko z najlepszej strony. Wszyscy okazywali mi serdeczną miłość i spełniali wszystkie moje życzenia. Za to też muszę umierać, nie skończywszy nawet ośmnastu lat! Ale spełnienie najgorętszego życzenia ma być zakończeniem mego szczęśliwego życia. Och, Janiu, czy ty mnie zrozumiesz? Widziałam biały marmurowy krzyż na moim grobie i wiesz, jakie słowa były na nim wyryte?

Zmęczona, umilkła na chwilę. Janina dotknęła pieszczotliwie rozpalonego jej czoła.

— Chciałabym więc, — zaczęła znowu, — aby słowa te stały rzeczywiście na moim pomniku i aby każdy czytał: — Tutaj spoczywa Helena, ukochana żona sir Artura Chesleya. — No, teraz znasz ostatnie moje życzenie — otóż chciałabym zaślubić Artura, zanim umrę.

Po tych słowach osunęła się główka jej bezwładnie na poduszkę, i ciemne oczy zamknęły się. Przez chwilę głębokie zapanowało w pokoju milczenie. Twarz Janiny zbladła śmiertelnie, a w sercu biednej straszna i ciężka toczyła się walka. Nareszcie pochyliła się nad chorą i rzekła cicho:

— Więc ty kochasz go tak bardzo, Helenko?

— Tak! Kocham go więcej, niż cały świat i życie, więcej, niż rodziców i ciebie! Kocham go tak, że nie umrę spokojnie, jeżeli go raz chociaż nie nazwę moim mężem. Oh, Janiu, czy to grzechem jest taka bezgraniczna miłość?

Jakże mogła Janina potępić kuzynkę? Wszakże i ona tak samo kochała Artura!

— A on kocha cię także? — zapytała, całując czule twarzyczkę chorej.

— Naturalnie, przynajmniej tak sądzę! Mówicie mi przecież zawsze, że wszyscy mnie kochają!

— To prawda, ale to znowu inna jest miłość!

Twarz H lenki posmutniała.

— Ach, o to nie chodzi mi wcale, — szepnęła. - Wiesz, że jutro..... jutro o tym czasie..... już mnie tu nie będzie z wami....

— Więc czemu się tak niepokoisz jeszcze.....

— O, bo ty mnie nie rozumiesz, przerwała Helenka. — Z dnia na dzień kochałam go coraz więcej, i śmierć nie będzie mi tak straszną, jeżeli on będzie przy mnie! W ostatniej godzinie życia chciałabym trzymać jego rękę, patrzeć w jego oczy i usnąć w jego objęciach. Och, Janiu! Pomyśl tylko, jak młodo muszę umierać! Pomóż mi przynajmniej, abym lżej opuszczała ten świat, tak piękny i pełen rozkoszy! Wiem, że możesz się przyczynić do tego!

— Cóż mam uczynić? — Zapytała Janina bezdźwięcznym głosem.

— Artur jest tutaj — słyszę czasem z daleka głos jego, a serce silniej mi bije, gdy przechodzi koło drzwi mego pokoju.

— Tak, on jest tutaj!

— Więc idź do niego i powiedz mu wszystko. Powiedz, że to ostatnie życzenie umierającej, która go nad życie kocha. On nie powie „nie“. Powiedz, że osłodzi mi śmierć — ale idź zaraz, spiesz się. Pomyśl, że nie wiele czasu mi pozostaje. Proś ojca, aby przyszedł do mnie, jestem pewną, że papa zrozumie mnie i zgodzi się na moje żądanie. Gdyby zaś Artur odmówił, w takim razie nie pozwól nikomu tu przyjść, chcę wtedy bowiem umrzeć w zupełnej samotności. Mam jednak nadzieję, że on przyjdzie, i że w godzinie śmierci będę nosiła jego nazwisko. Spiesz się Janiu!

Janina Burton wstała, i zmieszana, na wpół przytomna, wyszła milcząc, aby wypełnić życzenie chorej.

Helena była jedynem dzieckiem lorda Johna Marstona. Od pierwszej chwili życia noszono ją na rękach i otaczano najczulszą miłością. Zasługiwała też na to pod każdym względem, dobra, śliczna, łagodna, zdobywała sobie od razu serca, a w oczach rodziców zupełną była doskonałością. I teraz, gdy zaledwie dorosła, miała poznać świat i jego przyjemności, uległa ciężkiej, niebezpiecznej chorobie, i anioł śmierci zamierzał rozszerzyć nad nią swe skrzydła. Straszna rozpacz panowała w całym zamku. Najsławniejsi lekarze z Londynu orzekli, że godziny jej są policzone, i że kto wie, czy dożyje jutrzejszego dnia. Ksiądz, który ją chrzcił i pierwszy raz do Stołu Pańskiego zaprowadził, przygotował ją teraz na śmierć. Helena wiedziała, że umrze, była jednak spokojną i z pokorą poddała się woli Boskiej. Ksiądz ze łzami w oczach patrzał na jej twarzyczkę słodką i uśmiechniętą, mówiąc sobie w duszy, że nigdy jeszcze nie widział i nie zobaczy młodej dziewczyny, umierającej tak pogodnie.

Lady Marstone leżała w drugiej części zamku — silna doza opium dała jej na chwilę chociaż trochę dobroczynnego snu, siły jej bowiem zupełnie były wyczerpane pielęgnowaniem chorej córki. Nadzieja utrzymania Helenki przy życiu dawno już w niej zamarła, a tak mąż, jak i siostrzenica Janina Burton życzyli sobie, aby się prędzej nie obudziła, jak kilka dni później, gdy wszystko już minie.....

Lord John, zrozpaczony, biegał po swoim pokoju, zatrzymując się raz po raz przed portretem córki. I w niemym żalu zaciskał pięści, złorzecząc przeznaczeniu, które mu nielitościwie wydzierało najmilszy i najdroższy skarb, jaki posiadał. Nagle otworzyły się cicho drzwi i Janina weszła do pokoju. Gdy lord ujrzał jej twarz bladą i zapłakaną, krzyknął przerażony.

— Więc już..... już.....?

— Nie, wuju, — odrzekło dziewczę prędko, -- jeszcze nie! Helenka prosi, abyś przyszedł do niej. Wie, że..... że..... koniec jej zbliża się..... i ma pewne życzenie, które musi być spełnionem.

— Zapewne, zapewne, — szepnął lord, biegnąc ku drzwiom. Potem zatrzymał się, spojrzał na Janinę, i dodał serdecznie:

— Nie zapominaj o sobie Janiu! Wyglądasz bardzo blado i mizernie!

Po wyjściu wuja zakryła Janina twarz rękami, a z piersi jej dobył się głośny jęk rozpaczy.

— Czy to sen? — zawołała. — Jakże ja właśnie mam powiedzieć mu życzenie Helenki! Wszakże przed tygodniem przyrzekłam zostać jego żoną! Co robić, Boże mój, co robić? Ona jest dzieckiem niedoświadczonem, kochającem, a życie jej liczy się na godziny! Nigdy nie przeczuwałam, że ona go kocha!

Wiedziała, że lady Marstone śpi, i że lord poszedł do córki. Może więc bez świadków rozmówić się z Arturem!

I otarłszy łzy, udała się na dół, do biblioteki, gdzie, jak się domyślała, spotka narzeczonego. Na widok wchodzącej zerwał się Artur z krzesła i spojrzał na nią pytająco.

— Nie, nie, — odrzekła tak samo, jak przed chwilą, — Helenka żyje!

— Ale jak ty wyglądasz! Och, najdroższa, musisz się więcej oszczędzać, już przez sam wzgląd na mnie! Nie należysz teraz wyłącznie do siebie, Janiu!

Przysunął jej wygodny fotel do otwartego okna i usiadł obok niej.

— Wypocznij na chwilę, kochanie! Przyniosę ci potem kieliszek wina.

Troskliwość jego uszczęśliwiała nad wyraz Janinę, ale on czuł, że narzeczona usuwa się dziś od jego pieszczot, i że blade usta drżały silnie, gdy je całował. A jednak biedna kochała go tak bardzo! I nie dziwiła się, że inna pożąda tego silnego ramienia, aby się na niem oprzeć mogła w strasznem przejściu z życia do śmierci. Jeżeli umierające dziecko prosił o trochę miłości i nie chciało niczego więcej, jak jego nazwiska na ostatnią godzinę, to czy można było odmówić temu życzeniu? Z pogodnym uśmiechem spojrzała teraz na narzeczonego i rzekła cicho:

— Arturze, muszę ci coś powiedzieć. Zadziwisz się pewnie..... bo nie przeczuwałeś, że nasza biedna Helenka kocha ciebie!

— Myślę, że ona wszystkich kocha, — odparł Artur. — Jest to dziewczątko anielskiej dobroci, i żal mi jej niezmiernie. Czy rzeczywiście nie ma dla niej nadziei?

— Nie! Lekarze zgodzili się na to, że dzisiejszej nocy nie przeżyje. Śmierć wyryła już swe piętno na jej twarzy.

— Biedne dziecko!

— Ale ona kocha cię! Tak mi się to dziwnem zdaje, bo uważałam ją zawsze za zbyt młodą, aby serce jej miało już być zbudzonem. Nie myślałam, że ktoś może jej być droższym niż rodzice i przyjaciele.

— Ja także liczę się do przyjaciół, — zauważył Artur.

— Nie, nie..... Ona kocha cię więcej, niż świat i życie — to są własne jej słowa.

Lord Chesley spojrzał zdumiony na Janinę. Młoda dziewczyna mówiła wolno, jak gdyby się obawiała wpływu, jaki wiadomość ta może wywrzeć na narzeczonym.

— Całe jej serce należy do ciebie, — zaczęła znowu po chwili, — a teraz, gdy stoi na progu wieczności, tęskni za tobą i pragnie cię widzieć.

— Biedne dziecko, — powtórzył Artur.

— Powiedz mi, czy, przybywszy tutaj, nie okazałeś jej trochę żywszego uczucia, czy nie wymówiłeś jakiegoś słowa, którego by ona inaczej wytłumaczyć nie mogła.....

— Nie, nigdy! Śmiałem się z nią i żartowałem, bo mi się podobała jej szczera wesołość, ale traktowałem ją zawsze jak dziecko. Moją pierwszą i jedyną miłością jesteś ty, Janiu!

I chciał ją objąć ramieniem, ale Janina cofnęła się mimowoli.

— Wiem, — odrzekła prędko, — myślałam też o czem innem! Helenka kocha cię tak, że teraz, w obliczu śmierci, pragnęłaby cię..... to jest..... Ona myśli tylko o tobie, mówi o tobie..... ach..... ona kocha cię bezwątpienia..... bardzo!

— Janiu, — przerwał Artur poważnie, — czy nie czujesz, jak dziwnem jest twoje postępowanie? Dlaczego ty właśnie mówisz mi o tem?

— Ach, nie mogę inaczej, — zawołała, załamując ręce, — bo przyrzekłam jej to!

— Uważam, że to urojenie chorej! Słyszałem, że umierający męczą się często jakiemiś myślami!

— Tak, ale Helenka myśli tej pozbawić się nie może. I życzenie to tak ją opanowało, że nie umrze spokojnie, jeżeli ono spełnionem nie będzie.

Gorące łzy spływały z oczu dziewczęcia, a lord Chesley patrzał na nią zdumiony, nie mając wyobrażenia, o jakiem życzeniu może być mowa.

— Arturze, — szepnęła, — ujmując jego rękę, — wiesz, jak szczęśliwem było krótkie jej życie, pełnem słońca i miłości. Teraz kończy się wszystko, i sam jedynie możesz koniec ten osłodzić.

— Ja! — zawołał nie dowierzając swoim uszom, — a cóż ja mogę dla niej uczynić? Biedne dziecko! Naturalnie, że uczynię wszystko, czego tylko chce.

Ale smutny wyraz oczu Janiny zaniepokoił go niezmiernie.

— Więc powiedz mi, o co chodzi, — rzekł cicho.

— Ona kocha cię! Nie domyślasz się jeszcze niczego? — szepnęła.

— Nie. Czy chce mnie raz jeszcze zobaczyć? Mam być przy niej w godzinie śmierci?

— Więcej jeszcze! Ach Arturze, nie mogę ci tego powiedzieć, a jednak przyrzekłam jej.....

— Najdroższa moja, — rzekł serdecznie, — widzę, że płaczesz, a ja nie chcę patrzeć na twoje łzy. Powiedz, o co chodzi — możesz być pewną, że uczynię wszystko, czego ty i Helenka żądacie odemnie!

— Helenka nie wie, że my oboje kochamy się i że jesteśmy zaręczeni, i chciałaby..... chciałaby — umrzeć, jako..... twoja..... żona!

— Co? — krzyknął Artur przerażony.

— Jako twoja żona, — powtórzyła Janina. — Jest to życzenie dziecka, tak proste i smutne — pragnie, aby na jej nagrobku stało nazwisko „Helena Chesley“, i.....

Artur spojrzał tak dziwnym wzrokiem na narzeczoną, że zamilkła natychmiast.

— Ależ Janiu, — rzekł po chwili spokojnie, — przecież ty masz być moją żoną! Żadna inna w świecie nie będzie nią! Nigdy!

Janina zarumieniła się i spuściła oczy.

— Mogę nią być — później, — szepnęła nieśmiało. — Żadnej innej nie odstąpiłabym ciebie, ale to jest tak wyjątkowy przypadek! Dajesz umierającemu dziecku na kilka godzin twoje nazwisko. Jutro o tym czasie nie ma jej, a myśl, że nie ulżyliśmy jej śmierci, bolałaby nas zawsze.

— Pomimo to nie rozumiem cię Janiu! Ty, moja narzeczona, nie powinnaś żądać odemnie czegoś podobnego!

— A jednak żądam! Dla nas długie może zostaje życie, lata całe szczęścia i miłości. Proszę cię, spełnij życzenie Helenki, chociaż prośba ta ciężką mi jest nad wyraz!

— Nie mogę na to przystać! Nie mogę odgrywać komedyi, jeżeli nie chcę tracić szacunku dla samego siebie. Żal mi biednego dziecka, i uczyniłbym wszystko chętnie, aby osłodzić jej ostatnie chwile, ale tego nie uczynię! Nie nalegaj na mnie dłużej, Janino!

— Muszę, muszę, — upierała się, płacząc. — Przecież chodzi tylko o kilka godzin! Jeżeli ja to zniosę, to i ty znieść możesz, bo ja więcej cierpię, niż ty! Pomyśl — taka młoda i musi umierać!

— Umierająca powinna, podług mego zdania, myśleć o czem innem.

Janina z wyrzutem spojrzała na Artura.

— Nie rozumiesz Helenki, — rzekła. — Gdyby istniała najmniejsza dla niej nadzieja wyzdrowienia, to byłaby milczała, ale tak jak rzeczy stoją..... Jest to fantazya dziecka!

— Należę do ciebie, a nie do niej, — zauważył lord Chesley chłodno.

Janina głośnym wybuchnęła płaczem.

— Ach, — zawołała, — tak mi ciężko, tak bardzo ciężko, że cię o to prosić muszę! Ale ona mówiła, że wtenczas tylko umrze spokojnie, jeżeli życzenie jej będzie spełnione! Ty sam możesz zmniejszyć jej trwogę śmierci, Arturze! I dla tego musisz się na to zgodzić, ja nie zaniosę jej odmownej odpowiedzi.

W tej właśnie chwili wszedł sir John do pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Złote myśli.

Cnota bez pobłażliwości, jest jak dyament, oprawiony w ciernie; jaśnieje, ale rani i nie pociąga.

Eliza Orzeszkowa.

*

Dusza ludzka, jak ptak: gdy wzbije się na pewną wysokość, nietylko nie wolno jej spocząć, ale musi tego skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej pierwsza lepsza pokusa przyciągnie ją ku ziemi.

Henryk Sienkiewicz.

*

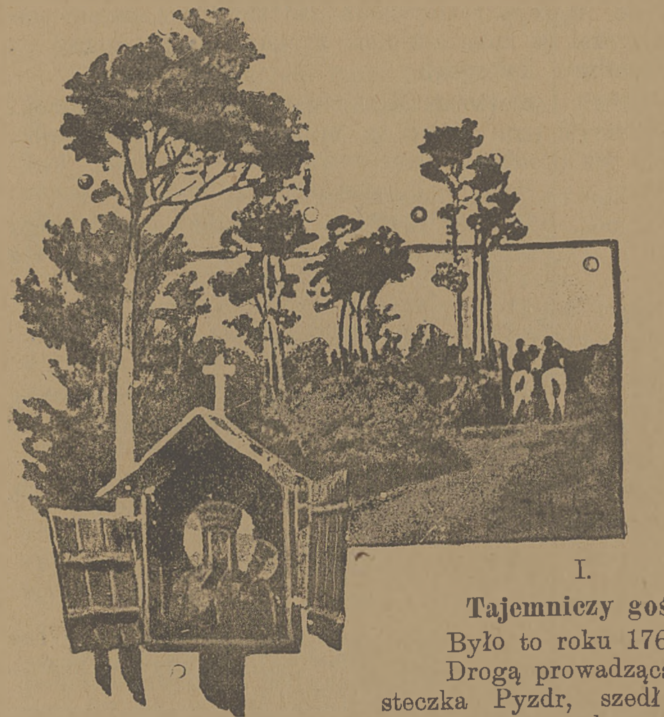
Z bólu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwstania nie masz. *Zygmunt Krasiński.*

SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.



I.

Tajemniczy gość.

Było to roku 1767...

Drogą prowadzącą do miasteczka Pyzdr, szedł wolnym krokiem zgrzybiały staruszek w podartem, żebraczem odzieniu; żylastą ręką cisnął gruby, sękaty kij, podczas gdy drugą co chwila gładził długą, białą brodę, która dziwnie jakoś odbijała od ciemniejszych, choć już także białawym szronem okrytych wąsów....

Znużone słonko już dobrze było się zniżyło ku zachodowi, wozy naładowane zbożem lub sianem, turkocząc powracały z pola, uśpione ptactwo ucichło i tylko hen tam gdzieś w wiosce słychać naszczekiwania psów, lub przeciągły skrzyp długich żórawi u wiejskich studzień...

Nasz podróżny uszedłszy dobry kawałek drogi, przystanął, otarł pot z czoła, i popatrzył ku zachodowi.

Czerwonawe rąbki słonka, wyglądając z za sinych gór, rzucały ostatnie wiązki promieni na uciszone łany i pola; wieczorne powietrze zawiało lekkim, chłodnawym wiaterkiem, który jakby niebieska rosa orzeźwił omdlałą dziennym skwarem ziemię...

Staruszek odetchnął całą piersią; zdjął z pięknego wysokiego czoła okurzony, słomiany kapelusz, i jeszcze raz spojrzawszy ku zachodowi, mruknął coś pod nosem i podwoił kroku.

Tymczasem drobny już zmrok zapadł, a na niebie pozapalały się gdzieniegdzie jasne, iskrzące gwiazdki; w dole widać było ciche miasteczko Pyzdry, ozdobione pięknym szerokim rynkiem, z milutkiemi, miejskiemi dworkami. Nasz staruszek szedł właśnie długą, szeroką ulicą, prowadzącą na drugi kraniec miasteczka, i z wielkiem swem podziwieniem spostrzegł, że pomimo późnej nocy jeszcze w miasteczku gwarno i ruchliwie. Po ulicach snują się poważni mieszczanie w wysokich, baranich czapkach, tu kilka wąsatych postaci, coś niby z szlachty, sierdziście i z ferworem peroruje, tam znowu pod kościołem, opowiada coś stary organista siwemu mieszczanowi na ucho, a ten potrząsa głową i coraz silniej ściska w swych pięściach długą, sękatą laskę...

Nasz podróżny uśmiechnął się na ten widok tajemniczo a radośnie i już nie za długą, białą brodę się chwycił, lecz za sumiaste wąsy, które na znak zadowolenia z emfazą podkręcił...

Na drugim krańcu miasteczka, stoi mały, lecz porządny domeczek, wystający ciekawie naprzód niewielkim zgrabnym gankiem, otoczony dokoła prawie gęstym, troskliwie ogrodzonym sadem, z kilkoma, bielejącemi się pniami pszczół. Na froncie ganku przybita szeroka tablica z rzemieślniczem godłem, a na niej czerwono malowany napis:

„Wojciech Szczygieł, Majster szewski.“

Tam to zdążał nasz tajemniczy nieznajomy. Doszedłszy do rynku, skręcił w boczną, ciemną uliczkę, przeskoczył niski płot, przypierający do tylnej części dworku i jednym susem stanął tuż przed na pół oświeconym oknem małej izdebki pana majstra.

— Hm... modli się... — szepnął przytłumionym głosem — biedny Wojciech!... On modli się gorąco, ze łzami, za biedną swoją ojczyznę, cierpiącą pod jarzmem chytrej carycy...

— Ale... — dodał, a oczy zaiskrzyły mu się radośnie — ani się spodziewał mnie dziś obaczyć, starego kolegę... i jeszcze z nowiną, a jaką nowiną...

...Chodźmy! — zakończył nareszcie — trzeba osuszyć łzy staremu, poczciwemu Szczygłowi...

I odstąpiwszy od okna, otarł łzę, co mu się gwałtem do ócz cisnęła, i znikł w ciemnej sieni dworku...

My tymczasem pomimo wszelkich perswazyi a może i gniewu szanownego czytelnika, udajmy się na drugą stronę pomieszkania sławetnego pana majstra, i obaczymy co się też tam dzieje.

Właśnie teraz troskliwa matka, a żona pana Wojciecha Szczygła ułożywszy dziatki do snu, zabrała się do pacierzy, rozłożyła starą, przedartą książnicę przed sobą, i ucałowawszy szkaplerz, zaczęła swoje codzienne modlitwy...

Najstarszy synek państwa Szczygłów, szesnastoletni Piotruś, nie poszedł za przykładem młodszych swych siostrzyczek na spoczynek, tylko usiadł na ławie pod oknem, i wpatrzywszy się w wiszący na ścianie portret dziadka z karabelą w ręku, coś sobie w myślach rozbierał...

I cicho było w ciasnej izdebce dworku starego pana Wojciecha; znużone dziewczątka spały, matka odmawiała wieczorne modlitewki, a młody Piotruś dumał, wpatrzywszy się w stary, zapylony konterfekt dziadka...

Wreszcie skończyła pani Wojciechowa swoje pacierze, zamknęła modlitewnik, a pożegnawszy się, rzekła do siedzącego chłopca:

— Czemuż to Piotrusiu nie idziesz na spoczynek, wszakże już późno... Tato już dawno musiał się położyć...

— Eh! bo to widzi mama — ozwał się żywo Piotruś — tyle myśli mi się teraz snuje po głowie, że i spać się nie chce... Właśnie teraz byłem u pana Macieja, różni się to tam poschodzili, a mówili, mówili, że aż dusza się w człeku radowała...

— Mówili — dodał, a oczy żywo i radośnie mu zajaśniały — że już czas, ażeby nasz król przestał się bawić i weselić, że to bardzo brzydko, kiedy w kraju naszym Moskale palą, rabują i zabierają wszystko jak swoje, król tam gdzieś w Warszawie odprawia hulatyki i nocne uczty z babami, i z tą chytrą carycą, która go już całkiem opętała... Pan Bartłomiej bednarz, powiedział na ucho grubemu organiście, że tam gdzieś w Barze czy w Radomiu zbierają się gromadki naszych, którzy chcą wszystkich moskiewskich żołdaków z naszej ziemi wypędzić, i nowego, lepszego króla na tronie osadzić... Różnie tam o tem mówiono, a pan organista z radości chciał w dzwony uderzyć!

— Eh! nasz pan organista całe życieby tylko w dzwony bił!... — wtrąciła ze śmiechem matka.

— Dobrzeby to było wtenczas, dobrze, gdyby to wszystko było prawdą! — westchnął Piotruś — nie włóczyliby się wtenczas moskiewskie żołdaki po nieszczęśliwej naszej ziemi, a na polskim tronie siedziałby lepszy i mądrzejszy król, któryby nie pozwolił uciemiężać biedny ludek!...

— Daj Boże! — rzekła pobożnie pani Wojciechowa, a łzy stały jej w oczach — módl się... a może nasz wszechmogący Stwórca ulituje się na biedną naszą ojczyzną! — dodała i ucałowawszy syna w czoło, udała się do przyległego alkierzyku.

Tymczasem nasz Piotruś wymknął się z ciasnej swej izdebki, i przeszedłszy sień, chciał jeszcze wstąpić do ojca, gdy podedrzwiami usłyszał jakąś cichą, przytłumioną rozmowę.

Ciekawość go zebrała, przystanął i popatrzył przez szparę zamku...

Siwy ojciec siedział przy długim dębowym stole i czytał jakieś pismo, po bokach gęsto opieczętowane; przy nim stał nasz tajemniczy podróżny; pokręcał ciemnego wąsa i uśmiechał się z zadowoleniem; na ławie leżała obdarta siermięga, długa, siwa broda ukręcona z kłaków, i gruby sękaty kij.

Stary majster zasłonił szeroką chustką okno, zdjął z nad łóżka zardzewiałą karabelę, parę pistoletów ze skałką i troskliwie począł je oglądać.

Więcej ciekawy nasz Piotruś już nie mógł dojrzeć; pomimo woli usłyszał tylko przytłumione słowa:

— Puławski!... Bar!... Konfederaci!...

Wtem we drzwiach izdebki zaskrzypiał klucz, i Piotruś odskoczył, stanął pod murem i widział, jak po pod okna dworku przeszedł ojciec razem z owym tajemniczym gościem i skierował się boczną uliczką ku rynkowi.

O kilkanaście kroków za nimi, postępował niewidzialny Piotruś i wkrótce znikł na zakręcie ciemnej, przechodniej uliczki...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W lesie.

Szemrzą i szepcą lasu boginie
Swą pieśnią starą, odwieczną,
Echo tej pieśni w błękity płynie,
Znów wraca drogą słoneczną.

O czemże gwarzą lasu boginie
Wśród drzew gałęzi zielonych,
Czyli o smutnej, bladej dziewczynie,
O oczkach jej rozmarzonych?

Czyli o chłopcu, co ją porzucił,
Za kraj w bój poszedł waleczny,
Poszedł i poległ i nie powrócił,
Sen ukołysał go wieczny?

Szepcą i płaczą lasu boginie,
Łez rosą, co z liści spływa,
Pewno, że gwarzą o tej krainie,
Co wiek już w grobie spoczywa:

Bo nie ma mężów, coby powstali
Podźwignąć wieko jej trumny,
Mężów potężnych, mężów ze stali,
Mężów jak śpiżu kolumny.

Bo nieprzeparta narodu siła
Wciąż w ludzie śpi niedobyta,
Śpi — ręka żadna jej niezbudziła,
Śpi w zapomnieniu ukryta.

Szepcą i płaczą lasu boginie
Łez rosą co z liści spływa,
Smutne dumają o tej krainie,
Co wiek już w grobie spoczywa.

—Ski.

O szarej godzinie.

— A więc — warto?

— Stanowczo warto, bo pomyśl pan tylko, co to będzie kiedyś...

— Chce pani powiedzieć... na starośc.

— Dobrze, niech będzie na starość! Jest to przykra era życia ludzkiego. Wtedy wymaga się stanowczo od świata i ludzi czegoś więcej, niż w 30-ym roku życia.

— Zkądże to pani jest tak dobrze poinformowaną w tych rzeczach?

— Słyszałam... widziałam, — zresztą to wszystko jedno! Takie rzeczy łatwo przecież zrozumieć... I w takiej chwili, gdy człowiek ma największe wymagania i najbardziej potrzebuje rozrywki, choćby tylko dla zagłuszenia w sobie myśli o smutnej konieczności bliskiego ustąpienia z tego padołu...

— Flirtu...

— Nie, panie, mówmy na seryo! Pomyśl pan tylko, co pana czeka, jeśli mnie pan nie usłucha: samotność, zmuszająca do ciągłego rozmyślania nad smutnym swoim stanem, straszny żal za zmarnowanem życiem, rozgoryczenie.

— To jeszcze kwestya!

— Ależ nie ma dwóch zdań, nie może być inaczej... Zresztą — pomyśl pan tylko, co by przyszło mi z tego... Sama jestem już niewolna.

— Właśnie! to całe nieszczęście...

— No, no... tylko bez żartów; Nie mam nawet nikogo na widoku... Chybaby Julcia, lecz nie... Ona już też tak jakby...

— Dzięki Bogu!

— Iii — nie ma za co dziękować...

— Być może...

— Nie być może, tylko naprawdę. Tak! Naprawdę, złoty panie! Zenić się warto, warto i jeszcze raz warto! No i cóż pan na to?

— Powiem pani otwarcie, że... że jestem teraz już o tem, dzięki pani, gruntownie przekonany.

— No — i?

— No — i nie ożenię się nigdy w życiu!

— Ależ pan wygadujesz herezye. Kto słyszał?

— Takie już jest moje niezłomne przekonanie. Tak pani, — nie ożenię się nigdy, słyszy pani, nigdy w życiu!.. na złość pani, wszystkim... przez zemstę!

— Przez zemstę?

— Tak, chcę się zemścić...

— Na kim? Za co? Dlaczego?

— Och — niedługa to historya, zdaje mi się jednak, że pani znasz ją już dobrze.

— Gdzie tam, nic nie wiem, opowiadaj pan.

— Kiedyś, przed laty... chłopiec, który widział swe szczęście... w oczach pewnej dziewczyny; oczy te były tak łaskawe, że zrozumiawszy wysokie swe posłannictwo, spoglądały nieustannie na owego, widzącego w nich szczęście własne chłopca..

— Ho, ho! Toć to prawdziwa idylla...

— Niech pani tylko nie przerywa... Rzeczywiście, była to idylla, która skończyła by się zapewne bardzo rozkosznie, gdyby za oczami tej pięknej dziewczyny, poszło też jej serce. Gdy jednak... stało się inaczej... i ta dziewczyna jest dziś cudzą żoną, namawiającą chłopców do żenienia się, bo to... tak wypada...

— I — nie ciekawa historya!...

— Zapewne... w cieniu tej rozłożystej palmy inne opowiadają się rzeczy...

— Chodźmy stąd już jednak; nie uważa pan, że lampa filuje?...

de Monio.

Jednostka.

Przez łzy, wesele — radość i żale,
Jednostka w życiu błądzi i kroczy,
Wszechświat się o nią nie pyta wcale,
Wciąż swoim torem — naprzód się toczy.

Przecież jednostka świat tworzy cały,
W sobie spowity, w sobie skończony,
Świat wśród wszechświata niezmiernie mały,
Potęgą myśli — świat niezmierzony.

—Ski.

Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

Handel.

Język rosyjski celem komunikacyi itp. w stosunkach handlowych z Królestwem Kongresowem względnie z Rosyą ma być nauczany w niektórych wyższych szkołach górnośląskich. — Opolska izba handlowa postanowiła 10 b. m., zwrócić się do władzy szkólnej z zapytaniem, czyby nie zezwoliła, aby tymczasem przy jednej wyższej szkole zaprowadzono naukę rosyjskiego języka dla tych, którzy by go się dobrowolnie nauczyć pragnęli. Izba handlowa jest gotowa, poświęcić na tę naukę na początek 1000 m. na rok. Według uchwały ma zarząd izby tą sprawą się zająć.

Radzimy naszym kupcom i handlowcom, aby się również uczyli języka rosyjskiego, skoro tylko mają do tej nauki sposobność.

Cena węgla idzie ciągle w górę. Pojedyńcze kopalnie podwyższają cenę, ale posiedziciele kopalń utworzyli też związek, który postanowił, podwyższyć cenę tony węgla od 1-go kwietnia o 50 fenygów. Kopalnie wysyłają, ile mogą, tak, że w grudniu r. z. wysłały 400 wagonów więcej, niż zeszłego roku, choć w tym roku w grudniu przecież kopalnia Ludwigsglück nie mogła wysłać węgla. Koleje rosyjskie zamierzają sprowadzić ze Ślązka 14 milionów pudów (po 70 funtów) węgla w kawałach, jeżeli ceny będą dogodne.

Wobec tego robotnicy wszędzie żądają większego zarobku.

W Ostrawie, na Ślązku austryackim, wybuchnąć miał strejk długotrwały. Aby temu zapobiedz, poprawili pracodawcy zarobku o 5 procent, przyrzekli zupełnie wolny opał i olej i 10 godzinną szychtę nocną przed niedzielą i świętami.

Górnicy w Czechach około Kladna i Busztyradu żądają poprawy zarobku i krótszej szychty. Pracodawcy mieli aż do 13-go stycznia oświadczyć, czy się na to zgadzają.

W Saksonii ruszają się górnicy i żądają poprawy zarobku.

Targ na nasiona wiosenne dla gospodarstwa rolnego i leśnego odbędzie się w Poznaniu we wtorek, 6-go marca, na wielkiej sali Lamberta. Programy i formularze do zgłoszeń można otrzymać bezpłatnie w biurze Izby rolniczej dla Księstwa Poznańskiego przy ulicy Fryderykowskiej nr. 26., do którego to biura należy przesyłać wszelkie pisma, odnoszące się do owego targu.

Bank ludowy w Raciborzu. W „Nowinach Raciborskich“ czytamy:

Z prawdziwą przyjemnością donosimy, że „Bank Ludowy“ został zapisany w rejestrze sądowym i wnet rozpocznie swą czynność. Zabiegi około założenia „Banku Ludowego“ na wzór banków istniejących w Bytomiu, Katowicach, Siemianowicach i Opolu, zajęły z górą rok czasu. Musieliśmy przejść przez wszystkie istancye aż do kamergerychtu w Berlinie, aby uzyskać pozwolenie, żeby bank nosił polską nazwę oraz aby ogłoszenia do czynności banku się odnoszące można umieszczać w „Nowinach Raciborskich“. „Szczęść Boże!“ Redakcya „Pracy“.

Przemysł.

Piekarstwo. Cechy piekarskie wystosowały do rady związkowej petycyą, aby nie potwierdziła uchwały parlamentu co do obowiązkowego zamykania handlów, albo przynajmniej zrobiła wyjątek co do zawodu piekarskiego. Występują także przeciw ustanowieniu 11-godzinnego wypoczynku bez przerwy, ponieważ jedno i drugie w obec warunków, w jakich piekarstwo się znajduje, byłoby dlań zanadto szkodliwem.

Stolarstwo. Na ostatniem walnem zebraniu Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu wygłosił p. Filipowicz obszerny, bardzo pięknie opracowany odczyt „o stolarstwie i jego nowoczesnych zadaniach“. Mówca rozpoczął od sztuk pięknych, przeszedł style starożytne i nowożytne a zakończył zaleceniem stolarzom naszym stylu zakopiańskiego.

W dyskusyi nad odczytem zabierali głos panowie: prezes Kużaj, Wąsowicz, Sokołowski i Poturalski. Dwaj ostatni wykazywali, że stolarstwo u nas nie może wznieść się do artystycznej doskonałości z powodu małej zapłaty, jaką pobiera czeladź stolarska. Ubolewano dalej nad tem, że ludzie majętni sprowadzają przeważnie meble z Wrocławia, Berlina lub Wiednia, jakkolwiek meble te w części wyrabiane są w Poznaniu i przez żydów ztąd wysyłane do miast wymienionych, zkąd znowu do nas wracają.

Kołodziejstwo. Cech kołodziejski na powiaty wschodnio i zachodnio-poznański podwyższył ceny na swoje roboty zawodowe o 25 procent z tego powodu, że się podniosły ceny drzewa. Kto z członków cechu nie zastosuje się do cen przepisanych, zapłaci karę porządkową w kwocie 10-ciu do 20-tu marek.

Gospodarstwo.

Próżne kartofle. We Francyi zrobiono niedawno zajmujące spostrzeżenie na głąbach kartofli. Wybrane na początku września kartofle zdawały się być zupełnie zdrowemi, ale wrzucone w wodę, podniosły się do góry i pływały. Gdy przekrojono głąby, pokazało się, że były wewnątrz próżne, a na brzegach spostrzeżono brudną, gęstą masę, którą uważano za pewien rodzaj grzyba. Później dopiero znaleziono w wnętrzu głąba żywe zwierzątka, podobne do Eumerus lunulatus i to w wielkiej bardzo ilości. Zachodzi teraz pytanie, czy powodem tej choroby są larwy muchy Eumerus. Może być, że mucha ta złożyła tylko jaja na głąby, będące już choremi, i że powodem choroby były bakterye. Byłoby zajmującem dowiedzieć się, czy i u nas zdarzały się podobne przypadki.

Królikom nie dawać pod żadnym warunkiem zmarzłej lub odtajałej zieleniny. Wywołuje to niezmierne rozwolnienie i śmierć. Najlepszą dla nich paszą zimową jest dobre, suche siano, ćwikła i trochę owsa.

Przepisy i rozporządzenia władz.

Na podstawie § 11 regulaminu, dotyczącego należytości od telefonów, należytość za każde połączenie z siecią telefoniczną, nie więcej jak 5 kilometrów odległem od miejsca centralnego, obliczaną będzie od 1-go kwietnia r. b. jak następuje: A. Należytość ryczałtowa wynosi 150 marek. B. Jeżeli zamiast należytości ryczałtowej płaci się oprócz należytości głównej należytość od każdej rozmowy, wtedy należytość główna wynosi 60 mk., należytość za każdą rozmowę 5 fen., ale przynajmniej 20 marek rocznie. Mający połączenie z siecią telefoniczną, którzy zamiast należytości ryczałtowej chcą płacić oprócz należytości głównej należytość za każdą rozmowę, winni donieść o tem piśmiennie do cesarskiego urzędu telegraficznego w odnośnem mieście aż do 15-go lutego r. b. Mający połączenie z siecią telefoniczną, którzy płacą teraz rocznie mniej, niż od 1-go kwietnia b. r. wynosić będzie należytość ryczałtowa, mogą od tego czasu wypowiedzieć swoje połączenie; o tem winni donieść do urzędu telegraficznego najpóźniej do 15-go lutego r. b.

Wiadomo, że od 1 bm. właściciele otwartych składów i restauratorzy winni umieścić na zewnętrznej ścianie składu względnie restauracyi napis, zawierający ich imię, nie w skróceniu, lecz zupełnie wypisane, i nazwisko. Kto na godle swojem już umieścił swoje imię i nazwisko, ten uczynił zadość pomienionemu przepisowi. Kto zaś na godle nie umieścił swego imienia, tylko nazwisko, albo imię, ale oznaczone tylko początkową literą, albo kto ma firmę zapisaną w rejestrze sądowym, zawierającą inne nazwisko, nie jego nazwisko rodzinne, nie potrzebuje zmieniać swego godła, lecz winien chociaż na jakiej mniejszej tabliczce z drzewa, żelaza lub blachy na zewnętrznej stronie swego składu, albo przy wejściu umieścić swoje imię i nazwisko w ten sposób, żeby je łatwo można spostrzedz.

Z kilku stron donoszą, że policya od tych kupców, którzy imiona swoje wypisali na firmie w brzmieniu polskiem, np., Jerzy, Wojciech itp. żąda, aby zamienili je bezzwłocznie na Georg, Adalbert itd. a więc wypisali imiona w brzmieniu niemieckiem, grożąc im rozmaitemi nieprzyjemnościami. Naszem zdaniem żądanie to jest nieprawnem, gdyż kodeks cywilny żadnych co do tego przepisów nie zawiera.

Najlepsze w swoim rodzaju! Najzdrowsze w swoim rodzaju! Przeszło 500,000 rodzin używało tegoż. Od 60 lat w użyciu. Dowód dobroci i nadzwyczajnych własności. Rzetelny środek domowy, pomocniczy i sprawiający ulgę. Nie powinno zbywać w żadnym domu! Zdumiewająco pomyślne wyniki. Dobrowolnie udzielone, świetne uznania, tysiące dziękczynnych listów! Nazwisko, etykieta opakowanie ochronione przez cesarski urząd patentowy. Uznane jako najlepszy i najskuteczniejszy środek, sprawiający ulgę w kaszlu każdego rodzaju, kaszlu dzieci, kokluszu, kaszlu duszącym, kaszlu kurczowym, kaszlu łechcącym, kaszlu, w którym krew się okazuje, w zaflegmieniu, także najsilniejszego rodzaju, duszności i chrypce, odwilżający, uspakjający kaszel, łagodzący i odwilżający. Jako środek odżywiający i wzmacniający u osób chorych na żołądek i słabowitych, w blednicy, bezkrwistości, influenzie, suchotach szczególniej wielkiej wartości.

Wypróbowany miliony razy. Co raz większy popyt. Prawdziwe ziółkowe preparaty Lücka starej, znanej i znacznej firmy C. Lücka w Kołobrzegu są znakomitymi środkami domowymi, które skutkiem ich działania i rzetelności zdobyły cały świat. Żądać należy za darmo sposobu użycia od C. Lücka z Kołobrzega. Cena but. 1 mk., 1,75 mk. i 3,50 mk. **Prawdziwe tylko w aptekach do dostania.**

Części składowe: 180 kg. czyszczonego miodu 36 kg. soku jarzębinowego, 36 kg. destylowanej wody, 10 kg. wina białego, 1,2 kg. podbiału pospolitego, babki lancetowej, przetacznika, krwawnika, nogietka, 0,6 kg. nostrzyka, kłębu wężownika, mchu płucnego, po 2 kg. korzenia omanowego, korzenia goryczki, korzenia fiołkowego i żywokostu.

Nie powinno zbywać w żadnej rodzinie jako pierwsza pomoc.



Rysunek zmniejszony czerwonego opakowania.

Opakowania, wyglądające inaczej, jak powyżej zamieszczony rysunek, czerwonego opakowania, należy odrzucić jako nieprawdziwe. Nie ma żadnego równoważnika, który mógłby zastąpić prawdziwe ziółkowe preparaty Lücka! C. Lücka miód ziółkowy zdrowia wyrobu C. Lücka z Kołobrzegu może być tylko jakprawdziwy sprzedawany.

Kto nabyć pragnie

Swiatło żarowe

o najwyższej sile i trwałości, niechaj spróbuje moich przenośnych znakomicie wypalonych świateł gazowych do samodzielnego zakładania.

Natychmiast do użytku! Bez poprzedniego odpalania!

Nie jest to tak zwany towar bazarowy.

Cena za 100 sztuk 25 m. Tuzin prób 4 mr. franko.

Towar opłacający się nadzwyczaj dla sprzedających z drugiej ręki. Gwarancya dla dostawy bez najmniejszego uszkodzenia. Polecam również nieodpalone światła żarowe, jako i wszystkie części przynależne do światła gazowo-żarowego po cenach najtańszych. 1078

Hurtownie. Eksportowo.

Przesyłki za poprzedniem nadesłaniem należytości lub za zaliczką pocztową.

A. Gretscher, Gasglühlicht Industrie.

Frankfurt a M., Dreieichstr. 2.

Władysław Durzyński

dekorator kościołów

Poznań, ul. Zielona 3.

Przewielebnemu Duchowieństwu i Szanownym Dozorom kościelnym polecam się do malowania kościołów i kaplic

Pozłacam ołtarze, ambony, chrzcielnice, ołtarzyki do noszenia i t. d. 1051

Odnawiam obrazy, figury i wszelkie rzeźby. Dostarczam figury z masy i z drzewa, w każdej wielkości, artystycznie wykonane.

Prace mi powierzone wykonuję gustownie i rzetelnie przy cenach nizkich, o czem świadczą świadectwa z prac mych wykonanych, które na życzenie przesyłam bezpłatnie.

Warsztat i skład obuwia

dla panów, pań i dzieci

Karola Ptschyody

mistrza szewskiego

Gniezno, ulica Wilhelmowska 14.

Wielki wybór obuwia zimowego wszelkiego rodzaju.

Kalosze! Kalosze! Kalosze!

Specyalność: obuwie dla cierpiących na nogi. Zamówienia na miarę wykonuję skoro i rzetelnie. Wyporządzania odrabiam szybko i zgrabnie.

Baczność!

Gospodarstwo 120 mórg dobrej ziemi w najlepszym stanie, jest od każdej chwili z wolnej ręki do sprzedania. Wpłaty 6 tysięcy talarów i 2 tysiące zostaje na gruncie. Nadmienia się, iż gospodarstwo to składa się z dwóch numerów i budynków. Tylko swój może się zgłosić do 16

M. Janiszewskiego w Gogolewie p. Książ.

J. K. Jasielski

adwokat ludowy

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

w Poznaniu,

Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Wozy robocze

i koła do wozów

zrobione ze zdrowego i suchego drzewa, dostarcza **Głogowska parowa fabryka wyrobów kołodziejskich** 16

R. Krause,

dawn. G. Thielemann.

Głogowa — Glogau.

Cenniki franko.

Act.-Gesellschaft

A. Schmidt

Osterode

Königsberg-Tilsit-Posen



38

Najlepsze, najtansze

maszyny rolnicze

maneze od	145
młockarnie	113
sieczkarnie	35
śrutowniki	65
parowniki	58
machiny do czyszczenia	39
do kraj. buraków	38
łamacze makuchów	69
wagi dla bydła	145
ang. magiownie	240

Zastępcy poszukiwani z odwołaniem się na „Pracę." Nr. 1

Największa nowość roku 1900!

Zegarki z wizerunkiem Papieża.

D. R. G. M. 58771. Format prawem zastrzeżony.



Na tarczy wizerunek Jego Świątobliwości **Papieża Leona XIII** na rok św. 1900 w watykanie ludowi błogosławieństwa udzielającego.

Zegarki kiesz. remontoir eleganckiego wykonania sztuka 5 mk. Dla Towarz. przy odb. 1 tuzina 48 mk.

Zegary stojące 33 ctm. wysokie, 21/2 szerokie (najpiękniejsza ozdoba pokoju) sztuka 5,50 mk., tuzin 54 mk.

Na pamiątkę roku świętego 1900.

2 lata gwarancyi za dobry bieg. Wysyłka wprost do prywatnych. **8 dni na próbę** za zaliczką jedynie do dostania przez 1077

J. A. Rentrop's Uhren-Fabrik-Lag.,

Hagen i. W.

UWAGA: Otrzymane zegarki zadowoliły mnie bardzo i będę pana chętnie polecał. M. Bechtel, Moguncya.

Złoty medal. Złoty medal.



Antoni Rose

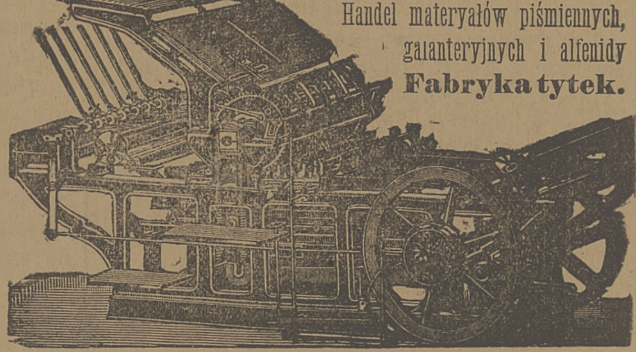
w Poznaniu w Bazarze.



Tapety i Linoleum.

Handel materyałów piśmiennych, galanteryjnych i alfenidy

Fabryka tytek.



Drukarnia, zakład litograficzny

wykonuje za pomocą maszyn pospiesznych wszelkie prace do zakresu litografii i druków należące. Skora usługa. **Ceny nizkie** lecz stałe. **Fabryka rejestrów gospodarskich, książek kościelnych i kontowych**

Skład papieru do opakowań.

Generalne zastępstwo na W. Księstwo Poznańskie w Linoleum z fabryki Delmenhorst.

Złoty medal. Złoty medal.

Towarzyszki życia

poszukuje przystojny kawaler, Polak przemysłowiec, 26 lat liczący, miłej powierzchowności. — Panny lub młode wdówki, posiadające cokolwiek majątku, zechcą swe oferty z dołączeniem fotografii, które zwrócone będą, przesłać z zaufaniem do ekspedycyi Pracy pod lit. **K. nr. 39.**

Dyskrecya rzecz honorowa, anonimów się nie uwzględnia.

Śliczne większe gospodarstwo

obszaru 120 mórg dobrej ziemi, 20 mórg łąki i piękna olszyna. Budynki masiw, siana, zboża, słomy wielka ilość w zapasie. Wodociąg do obory; 6 koni, 16 sztuk bydła, 9 świń, 3 bryczki, 8 sani. 7

Wielka cegielnia

w piecu znajduje się kilka tysięcy cegły i dachówki palonej. Glina jest tak dobra, iż można ją użyć do fabryki szamotu. — Bliższych wiadomości udzieli

Kazimierz Szymkowiak

w Radzionkowie G. Slązk (Radzionkau O./Schl.).

Dodatek humorystyczny.

Podlotkowi!

Lat piętnaście... jasne włosy
Wstążką spięte w złote kłosy,
Składna kibić... ócz otchłanie,
Buzia jakby malowanie —
(Oprócz innych zalet wielu)
Zachęcają do modelu!
Radzę zatem „Pracy“ szczerze,
By przyniosła nam w ofierze
Portret owej pięknej „róży“,
A z korzyścią to posłuży!
Mogę sam się zdecydować
I podlotka portretować.

Adam W.

Sambor, w Galicyi, 15. 1. 1900.

Za przykładem bogów.

— Mateuszu, skocz do piwnicy i przynieś mi butelkę starego portwejnu. Jakoś mi dziś niedobrze.

— Kiedy, proszę pana, portwejnu już zabrakło.

— Jakto? Dla czego, wszak był niedawno?

— Bo... bo... proszę pana, w ostatnich czasach i mnie było kilka razy niedobrze.

Ćwiczyć, czy nie ćwiczyć?

(Do pamiętnika polskim Sokolicom.)

Był Sokołem, jakich mało,
Ćwiczył ducha, ćwiczył ciało,
Wszystkim wzorem był;
I na każdym kroku, wszędzie
W pośród druhów w przednim rzędzie
Dla „Sokoła“ żył!

Ale przyszedł czas niestety,
Że i on wpadł w sieć kobiety
I u drobnych stóp,
Pokochawszy się w niej szczerze,
Złożył serce swe w ofierze
I sokoli czub.

Odtąd też, jak się ożenił,
Całkiem Sokół się odmienił.
Jakby nie ten druh,
Gdy utonął z nią w marzeniach,
Odtąd o nim na ćwiczeniach
Zginął wszelki słuch!

Lecz patrz skutku, po pół roku,
Który spędził przy jej boku
Z swoją panią wciąż,
Zgarbił się, jak gdyby stary,
Choć go zaraz kłaść na mary,
Biedny bardzo mąż!

Wtedy widząc sama żona,
Że mąż bez Sokołów kona,
Że go czeka grób,
Błaga w oczach go ze łzami,
Żeby nadal z Sokołami
Strzegł ćwiczebnych prób!

Em. Gordz.

Odważni.

Rozmawiają o żonach dwaj męże zuchwali,
Żartują sobie z takich, co pantofla szlakiem
Pokorni i milczący... Wtem słychać z oddali
Kroki obu małżonek i... jak zasiał makiem.

Nasza młodzież.

Jest sobie miasteczko miłe,
Strzelno, lub Witkowo,
Może Pakość, może Kłecko
Albo Wylatowo.
W niem panienki pracowite
Do chleba się biorą —
Szyją, grają expedyte
Nawet same piorą.
Te muzyki udzielają,
Peklują mięsiwa —
Te gotują — tamte krają,
Te pilnują żniwa —
Nic to wszystko nie pomaga,
Młodzież od nich stroni,
A choć który nie domaga
Za majątkiem goni.
Nie pomaga i uroda
Ani skromność, cnota
Wszystko na bok
Wszystko za nic
Kiedy nie ma złota.
Ej panowie! wy panowie!
Szkoda młodych latek
Przehulacie wasze zdrowie
Strwonicie dostatek!
Ten ma urząd, utrzymanie,
Ma ładne dochody,
Lecz żyć woli, jak kukułka,
Bo mu żal swobody —
Ten ma handel — chce majątku,
A nie myśli o tem,
Że choć wniesie pięć tysięcy
Stanie się kłopotem,
Bo przez nierząd wielkie państwa
Upadają marnie,
A tu trzeba z groszem, kredką
Rządzić gospodarnie.
Ej panowie! wy panowie!
Szkoda młodych latek,
Przehulacie wasze zdrowie,
Strwonicie dostatek!
Pracą — pracą, oszczędnością
Majątki się robią —
I niech nasze przyszłe żony
Te przymioty zdobią,
Więc panowie! mea culpa
W piersi się uderzcie
I wtym nowym karnawale
Do ołtarza spieszcie!

Aloe.

Pałuki, 9. 1. 1900.

Na wsi.

— Ojciec, dajcie prędko klucz od dzwonnicy, trzeba dzwonić za sołtysa.

— Przecież jeszcze nie umarł?

— To prawda, ale w tej chwili wlazł doktor do niego, to już pewnikiem będzie koniec.

Dawniej i dziś.

Dawniej młodzieniec, pełen respektu,
Kochał dziewoję z zapałem,
Serca za serce pragnął jedynie,
To było szczęściem dlań całem...
Dzisiaj konkurent bez sentymentu,
Wabi go tylko gotówka,
I na ideał wcale nie zważa,
Panna, rozwódka, czy wdówka.
Zanim oświadczyn nadejdzie chwila,
Wprzód zbada swego „anioła“,
Czy roczny procent od jej posagu
Utrzymać cały dom zdoła.

Dawniej nie znano blanszu i różu,
I były hoże dziewoje,
Nie tknęła żadna z pań kosmetyku,
I miały piękne twarzyczki swoje.
Dziś mają blade i zwiędłe lica,
O, bo postępem nauczne:
Mażą farbami twarz, brwi i usta,
Ząbki i włosy zaś „sztuczne.“

Dawniej Abramek w oczach dziedzica,
Który rad na pniu zbyć zboże,
Łasił się, skakał, jak baletnica,
I przy drzwiach stawał w pokorze...
Dziś się przeciwnie zmieniły role,
Abram jest panem folwarku,
A dziedzic w długach po same uszy,
Ugina przed nim wciąż karku!

Dawniej, gdy panna skończyła pensyę,
Nie była wyżej kształconą,
Tylko uczyła się gospodarstwa,
Aby oszczędną być żoną...
Dziś ukształcona taka pannica
Gra, śpiewa, pisze poezye,
Lecz gdy co w kuchni przyrządzi sama,
To tego nawet nikt nie zje!...

Dawniej stawiano budowle trwałe,
Mur jak żelazo był twardy;
Kiedy wypadło rozwalać który,
Łamali przy nim oskardy...
Dzisiaj zaś w świecie nad budownictwem
Niejedni już zapłakali, —
Ledwie budynek dachem pokryją,
Wnet kamienica się wali!...

Dawniej więc wszystko było inaczej,
Każda rzecz innym szła torem;
Nie dziw też przeto, że człowiek wtedy
Cieszył się lepszym humorem.

K. Grodowski.

Przyjaciółka od serca.

Idąc ulicą kiedyś w dzień biały,
Byłem niechcący naocznym świadkiem,
Jak przyjaciółki dwie rozmawiały,
Które podsłuchać mogłem ukradkiem.
— Ach, jak to dobrze, droga Emilko,
Żem cię spotkała, bardzo się cieszę,
Właśnie myślałam o tobie tylko,
Bo ci nowinę powiedzieć spieszę.
— No, cóż takiego, moja kochana? —
Wnet zagadnięta ciekawie bada. —
Czy jaka zaszła u ciebie zmiana?
Powiedz otwarcie, bom wiedzieć rada...
— Widzisz, z Henrykiem, no, znasz go [wszakże,
Jestem już teraz na szczęścia drodze,
Kocha mnie bardzo i ja go także,
Więc bez wahania za mąż wychodzę...
Kiedy oświadczał mi się na seryo,
To mówił ze łzą w oku, jak dziecię:
„O, ty najdroższa moja, Pulcheryo!
Nie ma od ciebie piękniejszej w świecie!..“
Wtem przyjaciółka, na pozór szczera,
Rzecze z przekąsem: — Mocno się dziwię,
Że masz odwagę wyjść za blagiera,
Który drwi z ciebie tak niegodziwie!...

K. Gr.

„Wieczysty pokój."

„Konferencya" — myśl genialna!
Wielkich władców wielce godna,
Będzie ludzkość idealna!
Miłująca się i zgodna!

Zjechali się, naradzali,
Wielcy ręce sobie dali,
„Wieczny" pokój podpisali.

Lew z tygrysem, niedźwiedź z pumą
„Wśród nas pokój!" krzyczą z dumą.
A gdy pokój, — dla igraszki
Możem... dusić małe ptaszki.

Więc bęc po łbie ten Tagala,
Tamten Boera, ci Mongoła
A choć krwi, szeroka fala
I lud gnębion: „wojna?!" woła,

Wielcy mówią: Nic to, fraszki,
Ot tak sobie dla igraszki
Polowańko, ruch konieczny,
Bo „*wśród nas*" jest pokój wieczny.

Z.

*

Niebo i ziemia.

Płynąc w nieba błogą dal —
Dzwoń dla chleba w czynu stal!

*

Sen.

Sen jest zawieszeniem broni
W ciągłej za — chlebem pogoni.

*

Bajka.

Raz, liszce, dumnej z rozumu,
Rzekła cud-piękności wrona:
— Głupstwo rozum! Nic mi z umu!
I tak będę sławna, czczona.
I ubiera się w koronki,
Wdziewa suknię atłasową,
Złote kolce i pierścionki;
Ma też broszkę brylantową,
Rękawiczki
I trzewiczki
I kapelusz modny, nowy,
Zdobny w duży krzak różowy,
W trawę, w drzewa, oziminy
I wypchane dwie ptaszyny...
Aż las się zadziwił cały!
W tem... kawaler mknie wspaniały:
Spojrzał w prawo — piękność zoczył,
Lotem gromu z konia skoczył,
Klęknął i rzekł: „O królowo,
Powiedz, błagam, choćby słowo...
Patrz, miłością drży me łono,
Powiedz: chcesz być moją żoną?"
Piękność okiem liszkę mierzy
I w uśmiechu ząbki szczerzy,
A tryumfem jaśniejąca
I miłością nagłą wrząca,
(Bo w jej żyłach też krew gra,)
Krzyknie: „Krrraaa!"
Kawaler jak opętany
Zerwał się — rozczarowany —
I rzekł: „Szkoda!
Piękna, młoda,
Nawet z gustem wystrojona,
Ale... wrona!"
Potem żwawo dosiadł konia
I jak wiatr pognał przez błonia.

S. Zahajkiewicz.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i wraz z dołączeniem **67 fen.** posłać na pocztę.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für Monate Februar u. März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 86 der Zeitungspreisliste)
für 67 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 67 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., *den* ....

Kaiserl. Post ....

PRZEZ CESARSKO-KRÓLEWSKI URZĄD PATENTOWY w Berlinie PRAWNIE ZATWIERDZONY A PRZEZ NAJWYŻSZY SĄD RZESZY w Lipsku

FABRYKI B. KASPROWICZA PRZYZNANY ZNACZEK OCHRONNY SŁAWNEJ B. K. KTÓRY CHRONI WYROBY JEJ PRZED PODRABIANIEM i NAŚLADOWNICTWEM A PRZY ZAKUPNIE STWIERDZA ORYGINALNOŚĆ I PRAWDZIWOŚĆ POCHODZENIA.

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE WÓDEK KASPROWICZA A PRZY ZAKUPNIE ZWAŻAJCIE NA FIRMĘ POD KARPIEM

ZNACZEK OCHRONNY

W GNIEŹNIE

Zielona Apteka
Edmunda Dzieżgowskiego
Poznań, ul. Wrocławska 31, urządzona podług najnowszych wymagań, poleca wszelkie środki zagraniczne i krajewe oraz artykuły chirurgiczne i gumowe po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874
Fabryka wody selterskiej i limonad musujących.
1½ minuty od placu Piotra.

Wiele 1000

cierpiących na kaszel i płuca zawdzięcza swe ocalenie mej słynnej na świat cały kuracyi t. zw. 1091
American coughing cure.
Kaszel i wyrzucanie flegmy ustaje już po dniach kilku, tysiące osób wyzdrowiało. Katar, chrypka, zaflegmienie i świerzbienie w gardle ustają natychmiast. Cena za flaszkę 2,50 m., za 3 flaszki 6 marek za zaliczką lub też poprzedn. nadesł. pieniędzy. Niezamożni otrzymają preparat za pośw. władzy miejsc. lub też księdza za połowę ceny.
Skład generalny: Oskar Lutze. Berlin, Tegeler Landstrasse.

Piękne loki bez szkodliwych nożyczek do palenia natychmiast tylko za pomocą Kuhna patentowanego **Sadulinu** (60). Kuhna pomada Sadulin w słojkach (80). Prawdziwe tylko u Fr. Kuhna, skład perfumów pod koroną, Norymbergia. Tutaj: u M. Levy'ego, drogerya, plac Piotra 2 i P. Wolff'a drogerya, plac Wilhelmowski 3. 1062

Tylko kapsułki Sanidowe (10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Żadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057
Skład główny: **L. Hofmann**, apteka, Schkenditz — Lipsk.
W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Cygaro przyszłości

Wendt'a patentowane cygaro.

Wynalazek radzcy tajnego prof. Dr. Gerolda.

Najzupełniejsza przyjemność palenia bez niebezpieczeństwa nikotyny. Do nabycia w lepszych składach albo wprost z fabryki. Cennik gratis Jedyną właścicielką patentów jest: 1086

Fabryka cygar, Herm. Otto Wendt, Bremena (Bremen).

Najtańsze źródło zakupu

herbat chińskich

dla sprzedających z drugiej ręki w

Centralnej Drogeryi

J. Czepczyński,

Poznań, Stary Rynek 8.

1032 Telefon Nr. 238.



Wielka wyprzedaż!!!
z powodu przeniesienia interesu po cenach niebywale **nizkich.**
Nadarza się sposobność **rzeczywiście korzystnego zakupu.** — W towarach zimowych mam jeszcze wielkie zapasy. Wyprzedaż trwa do 30 Stycznia 1900.
Od 1-go Lutego 1900 powiększam znacznie mój interes. Lokale znajdować się będą przy **ul. Wrocławskiej Nr. 13** na przeciw Zielonej Apteki — parter, I-sze piętro i suteryny. 986

K. Kużaj,
Poznań, Szeroka ulica Nr. 8.
Skład sukna, garderoby męzkiej i dla chłopców.
Pracownia eleganckiej garderoby.

Browar parowy Kawiary-Gniezno

P. Górski

poleca Szanownej Publiczności swe jako najlepsze uznane wyborne

piwa

a mianowicie 82
jasne składowe i ciemne eksportowe
po cenach nader umiarkowanych.

Mydło

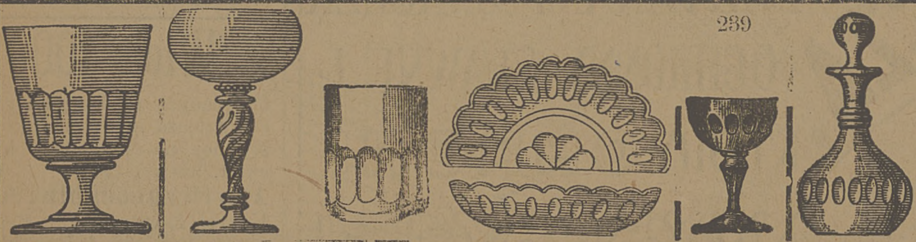
kupuje się najkorzystniej u
St. Żychlińskiego
w Gnieźnie 79
Fabryka i skład przy Wawrzyńca, filia przy Farnej.

Rodak, chcący założyć handel tow. krótkich, białych i t. p. prosi o łaskawe wskazanie miejscowości, gdzieby takowy miał powodzenie. Oferty upr. się do eksp. „Pracy" p. nr. 25.

W. Janaszek. Poznań, ulica Wrocławska 3.

Lampy	**Sprzęty kuchenne.**	**Szkło.**	**Porcelana.**
stołowe (metalowe) po 2,25, 3,50, 5, 7. **wiszące:** po 4,50, 10, 15, do 50. **Pająki** od 20 do 100 marek.	Wyżdżymaczki. Maszyny do prania. Noże, widelce, łyżki. Maszynki do mięsa.	Alfenidowe zastawy, koszyki, maśniczki, menażki, serwisy do kawy, sztućce.	nowe fasony dek. serwisy do kawy pocz. od 2,75—40 M. serwisy stołowe na 12 osób od 55 do 200 marek.

239



Poznań 1895 srebrny medal.

Gwarancya długoletnia.

Gniezno 1896 złoty medal.

Po przebudowaniu i znacznem powiększeniu magazynów naszych polecamy meble wykończone li tylko z dobrego, suchego materyału i to pod gwarancyą od skromnych do najwykwintniejszych. 755

Meble polecają Dankowski i Sp.

Poznań, Wilhelmowska 20, obok p. Starka.

Własnego wyrobu meble wyściełane; — **własny** wielki i zaszczytnie znany warsztat **tapicersko-dekoracyjny.** Mamy gotowe **kompletne** pokoje skromne i eleganckie; orzechowe, dębowe, złocone (bardzo modne), sypialnie jaworowe i t. d.

Wszystko we wielkim wyborze gotowe na składzie. Materye meblowe — prawdziwe francuzkie — w stylach do mebli odpowiednich.

Dankowski i Sp.

Magazyn mebli, Poznań, ulica Wilhelmowska 20.

Na spłatę ratami zgadzamy się.

Długoletnia rzetelna gwarancya.



Założony 1845 r.

Najstarszy warsztat i skład obuwia w Poznaniu

poleca bardzo przydatne na porę zimową:

Buty z cholewami pilśniowemi lub owczemi skórkami podszyte, buty długie do polowania lub gospodarstwa nieprzemakalne.

Nowość! Buciki Krügera, patentowane, jednem pociągnięciem sznurówki otwierane i zamykane. Jedyny na Poznań.

Nowość! Buciki Lawe'go warsztacikowe niesłychanie wygodne dla cierpiących na nogi.

Trzewiki balowe w różnych kolorach na pompadurkach, nadzwyczaj piękne, z fabryk szwajcarskich i wiedeńskich.

Kalosze prawdziwe ruskie z orzełkiem z Petersburga, najlepsze.

Sudoral! z apteki Petersa w Dreznie bardzo skuteczny środek ku poceniu się nóg i innych części ciała, zawsze na składzie, fl. 1 Markę, przepis gratis.

Wszelkie zamówienia i reparacye wykonuję spiesznie i akuratnie. 160

Ceny nie drogie! *Usługa rzetelna!*

K. MAY, Wilhelmowska ul. 21,

obok hotelu Rzymskiego naprzeciw Francuzkiego.

Żadna kuracya partacka

lecz tylko wypróbowane przeciw podagrze, reumatyzmowi, zaziębieniu i t. d. są moje: **Przepaski ciała** (M. 10). **Szkarpetki** 7,50). **Półkoszulce** (M. 3). **Nakolanki** (para M. 3). **Naramiennice** (M. 2,20, para M. 4). **Suspensoryum** dla panów (M. 4). **Przepaski dla cierpiących na żołądek i nerki** M. 3). **Naplecznik** (M. 5,50). **Podeszwy** (50 f.) z najlepszych kocich skórek Oscar Berger, nadw. dostawca. Lignica (Liegnitz).

Smyrneńskie wyroby ręczne i dywany smyrneńskie 1025

cenniki darmo i franko.

Fabryka wełny Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Z powodu śmierci

ś. p. mego męża zamierzam mój od kilku lat w Kruszwicy w rynku istniejący 9

handel szkła i porcelany

artykułów drobnych żelaznych, blaszanych

i t. p. pod korzystnemi warunkami **sprzedać.** Ponieważ to jedyny podobny handel na Kruszwicę nastręcza się dla młodego rutynowanego kupca dobra sposobność do zdobycia sobie pewnej egzystencyi tem więcej, że dział szkła rozszerzyć i szklarnię na większe rozmiary urządzić można. Zgłoszenia proszę adresować wprost do mnie.

Z szacunkiem

Anna Kozłowska.

Kruszwica, Cukrownia, w Styczniu 1900.

Światło acetylowe



z fabryki **niem. Tow. gazu acetylowego w Berlinie,** nadające się do oświetlenia pałaców, wsi, lokalów publicznych i balkonów. 87

Najtańsze oświetlenie **siły 16-tu świec na godzinę za 1,2 fen.**

Najtańsze aparaty 1—4 świateł od 130 mk. począwszy, od 4—6 świateł 180 mk. i t. d.

Gwarantując za dokładne wykonanie i rzetelną usługę, polecam się względom Szanownej Publiczności.

Główny zastępca

St. Smorawiński,

fabryka krat,

Poznań, ul. Berlińska nr. 15.

Dla Sokołów! koszulka, spodnie i pasek razem za 5,35.

Stałe ceny! **Andrzej Buliński,** Stałe ceny!

Berlin N., Schönhauser Allee Nr. 8.

1084 założony 1878.

Płótna ślązkie i bilefelskie. **Bielizna** dla kobiet, mężczyzn i dzieci własnej fabrykacyi.

Obrusy, serwety, ręczniki, firany, dywany, portyery, kołdry wełniane, dery, towary bawełniane, halki, parasole i parasolki.

Wyprawy ślubne będą jak najakuratniej i najlepiej wykonywane.

Skład czeskiego pierza, kwapu, i gotowej pościeli

Schönhauser Alle 182.



Przystanek omnibusowy Stacya kolei elektryczn Schönhauser Thor.

Zakład dentystyczny.

Kaźmierz Perkitny

ulica św. Marcin nr. 26 I.

Polecam się do wykonania 180

wszelk. prac dentystycznych.

Specyalność:

Zęby sztuczne bez płyt, plomby złote,

dalej wykonuję wszelkie operacye zębów bez najmniejszego bólu.

Ceny jak najprzystępniejsze.

Kilkoletni pracownik lekarza-dentysty Pana Riemana w Poznaniu.

Właściciel i wydawca: M. Biedermann w Poznaniu. — Redaktor odpowiedz.: Władysław Siemiątkowski w Poznaniu. — Czcionkami Drukarni „PRACY" (M. Biedermann) w Poznaniu, Rycerska 38
4 maszyny pospieszne, pędzone siłą elektryczną; z urządzeniem introligatorskiem.